Nr 147 Kraków, Niedziela dnia 28 Czerwca 1896. Rok IV

Przedpłata
w Krakowie:
rocznie zł. 16·—
kwartalnie „ 4·—
miesięcznie „ 1·35
Za odnoszenie ct. 20
Na prowincji:
rocznie zł. 20·—
kwartalnie „ 5·—
miesięcznie „ 1·70
Za granicą:
miesięcznie zł. 2·—

Numer zwykły 8 ct.
Niedzielny 10 ct.

GŁOS NARODU

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem dni poświątecznych o godzinie 8 rano.

Ogłoszenia:
Za wiersz 6 ct. Od wyrazu w drobnych ogłoszeniach 1½ ct.
w „Nadesłanem“ Wiersz zwykły 20 ct.
Sluby, nekrologi, wiersz 40 ct.
Do działu inseratów upełnomocniony *Jan Strycharski*.

Rękopisów redakcja nie zwraca.
Każda zmiana adresu 10 ct.

Adres Redakcji:
Kraków, ulica Krupnicza l. 11.

REDAKTOR NACZELNY: **JÓZEF ROGOSZ.**
Redaktor odpowiedzialny: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Adres Administracji:
Kraków, ul. Jagiellońska l. 7.

OD WYDAWNICTWA.

Ponieważ zbliża się nowe ćwierćrocze, prosimy tedy o szybkie odnowienie przedpłaty na kwartał następny.

Krocząc wciąż drogą prawidłowego rozwoju, donosimy z przyjemnością szanownym naszym Czytelnikom, że już wkrótce *Głos Narodu* będzie rozszerzony do rozmiarów największych pism zagranicznych, bez zmiany atoli formatu i bez podwyższenia prenumeraty.

Po ukończeniu »Monte-Leone«, rozpoczniemy druk wielkiej, oryginalnej powieści Józefa Rogosza, p. t.: **„Król borów i gór“**, osnutej na tle życia opryszków karpackich.

Prócz tego mamy w tece wielki zapas nowel, opowiadań, podróży i szkiców najrozmaitszych, z których każdy w wysokim stopniu zajmie uwagę naszych Czytelników.

☛ Jak w ubiegłych kwartałach, tak i nadal można obok *Głosu Narodu* abonować *Mody paryskie*, które wraz z dodatkami powieściowemi i krojami, dla naszych abonentów kosztują kwartalnie tylko **90 cent.** Pieniądze na *Mody paryskie*, prosimy przysyłać razem z prenumeratą na *Głos Narodu*.

Prenumerata na *Głos Narodu* wynosi:

W Krakowie:		Na prowincji:	
Do końca roku . zł.	8·—	Do końca roku . zł.	10·—
Od 1 lipca do końca września . . „	4·—	Od 1 lipca do końca września . „	5·—
Za lipiec . . . „	1·35	Za lipiec . . : „	1·70

☛ Nasza Administracja wysyła opłacone za **35 cent.** *Humoreski* Smolarza, które w księgarni kosztują 65 cent. Zapas ich już niewielki, z zamówieniami tedy prosimy się spieszyć.

Po zamknięciu sesji.

Prezes ministrów ogłosił w piątek przy końcu posiedzenia Izby panów odroczenie sesji Rady państwa. Jakkolwiek nie jest rzeczą wykluczoną, że jeszcze w ciągu parlamentarnych wakacyj zapaść może decyzja rozwiązania Izby poselskiej i rozpisania nowych wyborów, to jednak nadzieja, iż do tego wistocie przyjdzie, znacznie osłabła. Gorączkowa, maszynowa prawie działalność Izby, w ostatnich miesiącach zachęciła najwidoczniej rząd do przewlekania jeszcze dopóki się da bytu tego ciała, któremu już dawno życia zabrakło, ale które odruchowo spełnia jeszcze funkcje żywotne. Nigdy jeszcze żaden rząd nie miał tak wygodnego parlamentu, któryby z taką łatwością ryczałtowo załatwiał projekty, w innych warunkach wymagające długich miesięcy dyskusyj i sporów; deputowani konającej Izby, przeczuwając, że przyszłe wybory będą rodzajem nie dającej się przewidzieć w skutkach katastrofy, zrozumieli prostym instynktem samozachowawczym, że trzeba okazywać jak najwięcej zdolności do pracy i módz powołać się na jak najobfisze tej pracy plony. Nie o jakość tu już szło, lecz o ilość. To też liczba załatwionych z zamkniętemi oczami ustaw w ciągu ostatnich parlamentarnych tygodni, jest doprawdy imponująca.

Ufając, że to wyjątkowe usposobienie potrwa jeszcze kilka miesięcy, gabinet hr. Badeniego spróbuje zapewne przepchać przez Izbę poselską preliminarz budżetu na rok przyszły, ustawę o podatkach konsumcyjnych a wreszcie ugodę węgierską, która, jak się obawiać należy, ułożona będzie w myśl egoistycznych żądań Węgier. Tylko parlament taki, jak ten, który kończy swój żywot, mógłby taką ugodę przyjąć; zdaje się, że to jest jeden z najgłówniejszych powodów, dla którego darowano mu jeszcze rok życia. Inna rzecz, czy rząd poważnie pojmujący swoje obowiązki wobec państwa, może i powinien godzić się na współpracownictwo z ciałem prawodawczem, które oddawna stało się już karykaturą korporacji parlamentarnej. Za dawnych lat, hr. Taffe ilekroć spostrzegał, że nastrój Izby poselskiej pod wpływem zbliżającego się terminu wygaśnięcia mandatów, zaczyna się stawać nienormalnym, występował z wnioskiem przyspieszenia tego terminu i zawsze uzyskiwał na to zezwolenie cesarskie. Prawda, że ten nienormalny nastrój objawiał się wówczas trochę odmiennie; deputowanym szło wówczas nietyle o dochody z djet przez pozostałych kilka miesięcy, ile o łaskę wyborców, dla zapewnienia sobie djet na dalsze sześciolecie. Grasowała więc epidemja popularności, która drażniła i martwiła rząd, przeszkadzając mu w jego planach.

Dziś jest inaczej. Wybory stały się zagadką, a parlament miał sposobność zdepopularyzować się do tego stopnia, że najgorliwsze usiłowania, zmierzające do naprawienia tego, co się stało, musiałyby pójść na marne. Większość posłów postanowiła więc trzymać się silnie tego, co jest w garści, upatrując w przyszłych swoich mandatach niejakie podobieństwo z cietrzewiami na sęku. Stąd płynie ta zadziwiająca pogarda dla opinji, jaką manifestują z pewnem bohaterstwem wpływowi członkowie parlamentu. Dlatego to regulacja pensyj urzędniczych czeka dotąd na załatwienie i nie budzi wcale zapału reprezentantów ludu, zatrwożonych raczej o kieszeń gorzelników i piwowarów. Dlatego także utrzymany zostanie najprawdopodobniej dotychczasowy stosunek kwot udziałowych Austrji i Węgier na wspólne państwowe wydatki, mimo głębokiego oburzenia, jakie się wzbudzi w najszerszych kołach ludności cislitawskiej, jęczącej pod obuchem przewagi i prawie dyktatury Węgrów. Ma to wszystko jednakże, tak jak zresztą każda rzecz zła i przykra, jak każde nieszczęście nawet, swoją dobrą i dodatnią stronę.

Nie można wątpić, że tego rodzaju postępowanie ze strony przedstawicieli ludu w rządzie, otworzy oczy wielu tym, którzy dotąd nie dali zachwiać się w zaufaniu, iż wybór ich padł na ludzi odpowiednich i właściwych. Nastąpić musi gwałtowna reakcja; tłumy wyborców zaczną się odsuwać od tych, którzy tylko na zgromadzeniach przedwyborczych i w mowach kandydackich pamiętają o tem, że pierwszem ich powołaniem jest bronić praw i interesów ludu, a pójdą za tymi, którzy dają rękojmię, że nigdy nie sprzedadzą swojej niezależności i każdą sprawę roztrząsać będą jedynie według przekonania i sumienia, broniąc swego zdania i swoich dążeń z bezwględnością i odwagą.

Niezawodnie tacy parlamentarzyści są nietylko u nas, ale i wszędzie w znacznej mniejszości. W parlamencie austrjackim na palcach policzyć ich można, a i wśród tej garstki dokładnie trzeba rozróżnić tych, którzy dla popularności, z rachuby i nieszczerze przybierają pozę i grają rolę trybunów, od tych, którym słowa wyrywają się szczerze z pod serca, zrosłego z dolą ludu. Rozróżnienie nie jest łatwe. Obowiązkiem uczciwie pojmującej swoje obowiązki niezależnej prasy jest dopomagać wyborcom w orjentowaniu się, potępiać egoistów, piętnować karjerowiczów, zrywać maski z twarzy komedjantom a wyszukiwać ludzi szczerych i uczciwych. Ostatnia sesja konającego parlamentu przyda się może przynajmniej na to, że da niejedną sposobność do tego rodzaju orjentowania się, którego skutki będą mogły być w pełnej mierze przy najbliższych wyborach zastosowane.

ZE ŚWIATA.

Wiedeń d. 26 czerwca.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

(*gs.*) Ośm dni gościł Wiedeń w swoich murach czarnogórskiego księcia Mikołaja, który po drodze z Rosji do Belgradu, przybył tu w towarzystwie swoich dwóch synów: Daniły i Mirka, jako też ministra spraw zagranicznych, Wukowicza. Przez czas pobytu w Wiedniu, konferował książę Mikołaj kilka razy z hr. Gołuchowskim i był też przyjmowany przez cesarza. Książęta-synowie bawią w Semmeringu. Dziś przybyli oni do Wiednia, aby pożegnać ojca, który dziś wieczorem udaje się do Belgradu, gdzie znajduje się także tutejszy poseł serbski Simicz. W Belgradzie będzie książę czarnogórski przyjęty nadzwyczaj uroczyście i okazale. Będzie to rodzaj zbratania się obydwóch serbskich władców: narodowe zbratanie się Serbji z Czarnogórą. Obydwaj władcy wezmą udział w „requiem“, poświęconem smutnej pamięci bitwie na Kossowem Polu, gdzie carstwo serbskie zgniecone zostało przez bisurmanów.

Jutro dokona cesarz uroczystego włożenia biretu kardynalskiego na głowę dotychczasowego tutejszego nuncjusza. Włożenie biretu poprzedzi msza celebrowana w nadwornym kościele farnym przez kardynała Gruschę. Uroczystość odbędzie się przy rozwinięciu wielkiego ceremonjału. Cesarza otaczać będzie wielki orszak dostojników dworskich.

Fanfary budapeszteńskie donoszą, iż nareszcie po nadludzkich prawie wysileniach całej Madjarji, osiągnęła wczoraj liczba zwiedzających wystawę — miljon. Dumą narodu węgierskiego była w tym razie jakaś stara baba, którą hojnie obdarowano w obecności aż dwóch ministrów. Jeden z nich palnął nawet w zapale uniesienia orację do — baby. Natomiast nie wiedzie się madjarskiemu tysiącleciu z fakirami. I ten, który spał w szklanej trumnie, jako też i ten, który miał stać na straży — czmychnęli gdzieś. Przerażenie! Szukano ich skrzętnie, nareszcie jak jeden z budapeszteńskich dzienników donosi — stwierdzono, iż nadobne węgierki uwiodły obydwóch fakirów. Kiedy się oni produkowali na wystawie, zasypywano ich biletami miłosnemi. Długo opierali się Indjanie pokusie, aż nareszcie jeden z nich, nazwiskiem Gopal Krishna, przyjął propozycję jakiejś węgierskiej hrabiny i wyjechał z nią na wieś — za cenę wsi, którą mu owa hrabina obiecała darować, a właściwie darowała pod warunkiem, jeśli będzie jej czas uprzyjemniał na wsi przez cały sezon letni aż do 15 października. Drugiego wzięła sobie jakaś inna zamożna węgierka.

Wszystko to stoi czarne na białem w *Neues Pester Journal.* Co za wyuzdana musi tam istnieć rozpusta i jaki cynizm! Os-Budavara jest też specyficznie madjarską Sodomą.

Odwróćmy się z odrazą od tej zgnilizny moralnej i rozweselmy się obrazem, jaki przed naszemi oczyma roztoczyła scena rozgrywająca się przed jednym z tutejszych sądów powiatowych.

Lakiernik Krzepek i krawiec Mojer, byli przyjaciołmi od serca. Od dwóch lat grają oni ze sobą codziennie „strohmandla“ w kawiarni. Onegdaj pośliznęła się Krzepekowi ogromnie noga przy grze, można powiedzieć fenomenalnie; cóż dziwnego, iż był zły jak djabeł. Otóż kiedy go jeden z kibiców zapytał jeszcze w dodatku na drwiny: ile przegrał — odparł w zaperzeniu:

— Ilem przegrał, mniejsza o to, ale przegrać tyle w grze z takim bohaterem pantoflowym, jak Majer — to istotnie hańba.

Dla oznaczenia „bohatera“, będącego pantoflem jejmości, uczył p. Krzepek wyrażenia wiedeńskiego simandl.

Raził tem pana Majera jak piorunem. Ten zbladł, zadrżał, wziął kapelusz, wyszedł z kawiarni, udając się wprost do swego adwokata, któremu polecił zaskarżyć pana Krzepka o obrazę czci.

Przy rozprawie sądowej, po odczytaniu aktu oskarżenia, sędzia nie mógł się powstrzymać od wesołości.

— Wszak panowie — rzekł — jesteście przyjaciele. Obraza nie tak straszna...

— Okropna! — przerwał Majer.

— Panie Krzepek? — ciągnął sędzia dalej — czy chciałeś pan obrazić swego przyjaciela?

— Niechaj mnie Bóg broni od tego! — odparł zapytany. Byłem trochę zirytowany przegraną, a ponieważ wiem, zresztą wie o tem cały nasz „Grund“ (dzielnica), iż jego żona, a nie on, jest panem w domu, przeto wyrwało mi się więcej w żarcie...

— Czy chcesz pan przeprosić przyjaciela? — zapytał sędzia.

— Najchętniej.

— Cóż pan na to panie Majer?

— Nie mam nic — rzekł Majer — przeciw

memu przyjacielowi. Jednak to, co mi powiedział, dotknęło krwawo moją cześć męską.

— Jeśli panu złoży na piśmie oświadczenie, że nie miał zamiaru pana obrażać — wówczas honor pański nie będzie w niczem nadwerężony.

— Ma słuszność pan sędzia, ale ja przecie nie mogę przyjąć oświadczenia.

— A to dlaczego?

— Bo widzi pan sędzia... muszę się wprzódy spytać mojej żony czy ona się z tem zgadza.

Przerwa. Majer biegnie do domu, by zapytać się jejmości. Jejmość nie zezwala. Wraca do izby sądowej zafrasowany.

— Więc cóż? — pyta sędzia.

— Nic z tego — odpowiada — żona nie chce.

Teraz zabiera głos adwokat — obrońca Krzepeka i mówi:

— Klijent mój żadną miarą zasądzonym być nie może. Skarżący bowiem wyręczając nas przeprowadził właśnie dowód prawdy, iż jest pod pantoflem, inaczej nie pytałby się żony o zezwolenie.

Sędzia uznał trafność twierdzenia obrońcy i uwolnił oskarżonego.

Paryż 25 czerwca.

(List oryginalny Głosu Narodu).

Świat literacki i artystyczny Paryża obchodził temi dniami wspaniałą ucztą jubileusz pierwszego tragika Komedji francuskiej p. Mounet-Soully. Przy tej sposobności okazuje się, że Francuzi nie są tak zupełnie zaślepieni w sądzie o talencie p. Mounet-Soully, jak się to zdaje cudzoziemcom. Z okazji jubileuszu dzienniki przypominają tysiące złośliwych żartów, stwierdzających nienaturalność, skłonność do przesady, niejasność pomysłów w grze znakomitego zresztą artysty. Przez jakiś czas mówiono o tem, że p. Mounet zamierza usunąć się ze sceny. Pogłoski te okazały się fałszywe. — „Bądźmy szczęśliwi, mówiono wtedy w Paryżu. Mounet zostaje — będziemy jeszcze mieli wesołe wieczory w Komedji francuskiej“. Jeden z dzienników ogłasza interwiewy o talencie p. Mounet z jego własnymi kolegami. Najsurowszym dla tragika jest opinja wybitnego aktora, St. Germaina, który oświadcza, że nigdy nie może zrozumieć czego Mounet chce na scenie i że w najtragiczniejszych chwilach gra jego przestaje być tragiczną, a staje się śmieszną. Mounet — mówił St. Germain — żyje zresztą tylko pięcioma rolami, podczas gdy wielki Talma grał ich czterdzieści na rok. A i w tych pięciu rolach Mounet nie zdołał stanąć tak wysoko jak jego poprzednicy lub rywale. Inny aktor, Noblet, opowiada, że Mounet uczy się jednego wiersza swojej roli dziennie, oraz stwierdza, że został takim, jakim był, kiedy wstępował na scenę i kiedy się o nim mówiło: „to będzie bardzo dobry aktor, jeźli się trochę umiarkuje“. Nie tak to łatwo być wielkim aktorem wobec swoich kolegów!

W kołach katolickich Francji panuje przygnębienie z powodu decyzji ministrów w sprawie odbywania procesji Bożego Ciała bez zezwolenia merów. Zarządzenia te, znane wam już z depesz, a zwracające się przeciwko biskupom i duchownym, poczynione zostały naturalnie wbrew przekonaniom i sympatjom osób, stojących obecnie u steru rządu, ale właśnie dlatego, że stanowią ustępstwa dla radykalistów i wrogów katolicyzmu, tem bardziej trzeba nad niemi ubolewać. Na jednem ustępstwie nigdy się nie kończy; jest to zazwyczaj tylko początek dalszych ustępstw, które nie mają granicy i kończą się katastrofą. To też gabinetowi Mèlina, któremu dotąd ufano, prorokują teraz krótką przyszłość; we Francji trwały być może tylko taki rząd, który jest silny, ma odwagę swoich przekonań i bardziej się boi słabości, niż błędu nawet. Pan Bourgeois uśmiecha się ironicznie i przewiduje, że już niedługo powołany będzie do pałacu Elizejskiego. Nigdy zresztą nie tracił nadziei, że jego ustąpienie było tylko chwilowe. Przekonanie, iż tak jest, manifestuje nawet w sposób dość charakterystyczny. Oto gra bez przerwy rolę prezydenta ministrów na urlopie, otaczając się demonstracyjnie wszystkimi członkami swego gabinetu, jakby jeszcze za czasów urzędowania. Nie ma prywatnego, czy publicznego obchodu, aby nie zauważono tam p. Bourgeois wraz z jego ministerjalną kohortą. W Melun towarzyszyli mu pp. Doumer, Ricard i Locroy; w Sorbonie pp. Guyot-Desaigne, Combes i Guieysse; z p. Mesureur wyjeżdża p. Bourgeois do kąpieli morskich. Tą pośmiertną harmonją upadłego ministerstwa bawią się w Paryżu wybornie. „Jest rzeczą pocieszającą i dodającą otuchy — pisze żartobliwie jeden z dzienników — widzieć tych dwunastu mężów, trzymających się za dłonie i gotowych jeszcze raz poświęcić się dla dobra ojczyzny. Francja może zasypiać wśród słodkiej nadziei, że jeśli tylko zażąda, mężowie ci heroicznie choćby od jutra obejmą — teki ministerjalne!“

Świat dyplomatyczny, polityczny i towarzyski Paryża ubolewa szczerze nad tem, że za miesiąc z salonów pałacu Nuncjatury na rue de Varenne, uświęconych pamięcią Czackiego, zniknie sympatyczna postać msgra Ferraty, zamianowanego obecnie kardynałem. Stosunki pomiędzy rządem francuskim a Stolicą św., często tak dla katolickich uczuć bolesne, wymagają bardzo delikatnej dłoni i wyjątkowej organizacji umysłowej ze strony reprezentanta kurji rzymskiej w Paryżu; trudno będzie znaleźć drugą osobistość równie dobrze odpowiadającą trudnym warunkom tego ważnego urzędu, jak msgr. Ferrata. Uprzejmy, pełen taktu i łagodności, a przytem stanowczy i poważny, wzbudzał nuncjusz szacunek nawet nieprzyjaciół Kościoła, którzy w ostatnich czasach zbyt często niestety sprawowali ministerjalne urzędy. Życiu towarzyskiemu Paryża ubędzie także jedna z najmilszych postaci. Nuncjusz słynął z dowcipu ożywionego lekką życiową ironją. Opowiadają, że niedawno temu pewna słynna z urody i z czułego serca dama z arystokracji, prowadząca od dłuższego czasu proces rozwodowy z sędziwym małżonkiem, żaliła się w towarzystwie przed nuncjuszem na powolność Kurji w załatwieniu spraw małżeńskich. „W istocie, odrzekł nuncjusz, mamy zwyczaj czekać przynajmniej dziesięć lat z uregulowaniem tego rodzaju spraw. I mamy powód bardzo słuszny; w tym okresie czasu zazwyczaj niknie powód do rozwodu, choćby dlatego, że jedno z trojga opuszcza ten padół płaczu“. Mnóstwo tego rodzaju dowcipów msgra Ferraty krąży po salonach paryskich.

Śmierć margrabiego de Morès, śmierć prawdziwie bohaterska i męczeńska, sprawiła tu bardzo silne wrażenie. Wyjeżdżając z Paryża przeczuwał Morès katastrofę, która go spotka. „Jadę — mówił — prowadzić w dalszym ciągu moją gwałtowną kampanję przeciwko wpływom angielskim we francuskiej Afryce. Nie dziwcie się więc, jeśli gdzieś na pustyni spotka mnie nieszczęście“... W istocie panuje przekonanie, że Tuaregowie, którzy dopuścili się morderstwa na Morèsie i słudzy, którzy go haniebnie w chwili niebezpieczeństwa opuścili, opłaceni byli przez Anglików. Anglicy oddają tą zbrodnią wielką przysługę żydom paryskim, którzy w Morèsie widzieli swego największego wroga po Drumoncie. Był to bowiem prawdziwy szlachcic francuski dawnych czasów: odważny, namiętny, trochę awanturniczy, ale zawsze szlachetny i brzydzący się tem, co brudne i niskie. *K. W.*

Konstantynopol 23 czerwca.

(List oryginalny Głosu Narodu).

Od przeszło dwóch wieków stolica padyszacha nie miała publicznej egzekucji. Wieszano lub ścinano w głębi haremów i więzień, a ciała zwykle rzucano do Bosforu. Głowy ważniejszych przestępców czasem wbijano na piki i wystawiano na murach wieży siedmiu wodzów, lub innej forteczki. W przeszłym tygodniu jednak uraczono nas niezwykłem przedstawieniem i powieszono na moście bardzo uczęszczanym dwóch biednych Armeńczyków, którzy podobno należeli do komitetu tajnego. Sprawiło to ogólne przykre wrażenie i rząd turecki szybko się spostrzegł, inne egzekucje odbyły się bowiem we wnętrzu więzienia. Dziennikom o tym fakcie cenzura zakazała pisać. Zagrożono im ciężkiemi karami, nawet powstrzymaniem wydawnictwa. Dopiero w dwa dni później urzędowe gazety ogłosiły komunikat następujący: „Dwaj członkowie tajnego komitetu armeńskiego: Dżenisch Kesikli Uzeg, przezwany Garabad, syn Torosa i szewc Kevork, noszący pseudonim Leona, syn Thekir Dagli Agona zostali skazani na śmierć przez powieszenie. Dopuścili się oni czynów haniebnych, a przy ich ujęciu zamordowali ajenta policyjnego Halila Efendiego. Wyrok został wykonany przedwczoraj o god. 7 rano“.

Obecni świadkowie opowiadają, że ich przyprowadzono tylko w bieliznie i pantoflach. Dano im papier i atrament, aby napisali ostatnią swoją wolę. Dwóch duchownych armeńskich towarzyszyło na miejsce stracenia i odbyli z nimi spowiedź ostatnią. Nad brzegiem i w łodziach zgromadził się liczny tłum ludzi, należący do niższych warstw społeczeństwa. Ciała kilka godzin wisiały na szubienicy.

Jednym z ważnych powodów, który się przyczynił także do wydania tak ostrej kary, był ten, że obydwaj Armeńczycy, chcieli zmusić swego rodaka, bankiera Szahhass, do wypłacenia znacznej sumy pieniędzy na cele agitacyjne. Bankier się oparł żądaniu i zadenuncjował ich policji.

Sułtan Abdul Hamid miał wstręt do podpisywania dekretów śmierci. Zwykle zmieniał brzmienia wyroku i skazywał na dożywotnie więzienie. Od czasu jednak awantur armeńskich i spisków serajowych, stał się zupełnie innym człowiekiem. Otoczony wiernemi strażami rzadko się wychyla z Iłdiz-Kiosku. Spi snem gorączkowym, zrywa się często w nocy z łóżka i ciągle się mu wydaje, że mordercy czychają na jego życie. Wobec tego usposobienia stał się nawet krwiożerczym i gdyby mury więzień i wody Bosforu chciały przemówić, to dowiedzielibyśmy się, że w przeciągu jednego roku szubienica i morze pochłonęły kilkaset ofiar.

Głównem jego usiłowaniem jest zupełne zniszczenie partji zwanej „Młoda Turcja“. Członkowie jej należą do klasy oświeconej i chcieliby swoją ojczyznę zrównać z innemi państwami europejskiemi. Pragną zaprowadzić konstytucję, sądy przysięgłych, parlament i ministerjum odpowiedzialne. Midhat basza jest dla nich pierwowzorem. Sułtan wszelkiemi sposobami stara się wytępić owych rewolucjonistów. Działa tu głównie denuncjacja, która się ogromnie rozwielmożniła w stolicy i na prowincji. Delatorzy płaceni są na wagę złota i rekrutują się nawet z osób wysoko położonych. Przed kilku tygodniami przybył tutaj z Kairu, celem odwiedzenia swoich przyjaciół Hassan Huzni basza, redaktor i wydawca dziennika *El Nil.* Wrogowie jego umieścili artykuł w gazecie kairskiej *Mizam*, że się zalicza do najwięcej zaufanych Murad beja, znanego przewódcy „Młodej Turcji“. Zaaresztowano go natychmiast i tylko dzięki silnej protekcji i interwencji samego wicekróla Abbasa baszy, wypuszczono na wolność. Naturalnie Hassan Huzni natychmiast się wyniósł z Konstantynopola i solennie przyrzekł nigdy więcej nie powrócić.

Wogóle dzisiejsze stosunki są niemożebne i tylko cudzoziemcy zostający pod opieką swoich ambasad, pewni są życia i majątku. O poddanych sułtana niemożna tego powiedzieć. *S. M.*

Wycieczka do Szczyrzyca.

Limanowa 23 czerwca.

(List oryginalny Głosu Narodu).

Z inicjatywy państwa Podgórskich w Limanowej odbyła się dnia 20 bm. wycieczka do klasztoru O. O. Cystersów w Szczyrzycu. Rano o godz. 6-ej wyruszyło grono osób do Szczyrzyca. O godz. 10-ej rano stanęliśmy na miejscu, powitani przez Wielebnych Ojców z przewielebnym księdzem przeorem, infułatem Kolorem na czele.

Klasztor O. O. Cystersów jest rok rocznie zaszczycany kilkotygodniowym pobytem J. E. ks. biskupa Łobosa. I nie dziwię się temu, bo trudno wybrać piękniejsze miejsce na pobyt letni.

Pierwszą rzeczą, która tu uderza przybywającego, jest cudowny widok, roztaczający się na okolicę. W około gór, których wierzchołki właśnie w mgłach się kąpały, pokryte kobiercem starych lasów o różnych wzorach i barwach. Tam pasmo ciemnozielonych buków, tu znowu wstęga jaśniejszych jodeł lub ciemniejszych sosen, zlewa się w jednę przepyszną harmonję barw, której najdzielniejszy nawet pędzel malarza oddać nie zdoła.

Po nasyceniu oczu widokiem okolicy, udaliśmy się pod przewodnictwem jednego z Ojców na zwiedzenie gospodarstwa. Znakomita kultura rolna, leśna i ogrodowa, nadzwyczajny porządek, czystość i schludność zabudowań, wszędzie ład i sprężystość, oto przymioty, jakiemi się odznacza gospodarstwo OO. Cystersów.

Nie poprzestając jednak na samem gospodarstwie, ojcowie Cystersi pracują i na innem polu. A przedewszystkiem podnieść należy, że z przedziwną i pochwały godną wytrwałością, wypierają z dóbr swoich żydów, zastępując ich bądź to katolikami, bądź własną pracą. Pracując nad wychowaniem ludu, bo sami założyli szkołę, w której udzielają nauki, usuwają wytrwale wpływ żydowski, którego, niestety, jak nas smutne doświadczenie uczy, jedyną etyką moralną jest zrobienie dobrego „geszeftu“. Widzieliśmy sami, przechodząc koło szkoły, wiejską dziatwę szkolną, słuchającą z uwagą nauki jednego z Ojców i mimowoli każdy w duchu westchnął: „Daj Boże takich więcej!“ Tu przynajmniej pewni tego jesteśmy: nauki religji chrześcijanom żyd wykładać nie będzie.

Jak zaś daleko sięga przywiązanie ludu do księży, niech posłuży następujące zdarzenie: Jeden z Ojców ma zwykłą drogę, którą chodzi codziennie na przechadzkę. Raz idąc spotkał małych pastuszków, pasących w polu bydło. Wdał się z nimi w rozmowę, a spytawszy, czy nie są głodni, poszedł do pobliskiego sklepu i kupił im kilka bułek. Wieczorem przechodząc, spostrzegł ze zdziwieniem, że cała droga, którą zwykle uczęszczał na przechadzkę, była wysypana kwiatami. Domyślił się sprawców i zawoławszy ich do siebie, wytłómaczył im, że kwiaty sypie się tylko Bogu na procesjach, a on nie jest tego godny. Na drugi dzień idzie znowu tą samą drogą i widzi, że na całej drodze nie ma ani jednego kwiatu. Dzieci, przejęte nauką Ojca, sprzątnęły wszystkie kwiaty.

W całem miasteczku nie ma ani jednego żyda. Katolik sprzedaje, katolik hebluje i robi obuwie i sądzę, że mieszkańcom z tem dobrze.

Po dokładnem zwiedzeniu gospodarstwa, tudzież wzorowo urządzonego browaru, który O. O. Cystersi posiadają, udaliśmy się na skromny posiłek. Po objedzie, pod przewodnictwem jednego z Ojców, wyruszyło całe grono wycieczkowe do sławnej na całą okolicę pustelni.

Droga do niej prowadzi przez wąwóz, znajdujący się pośród starego boru. Zatrzymujemy się w miejscu skąd pieszo trzeba iść pod stromą górę. Na samym wstępie, u podnóża góry, znajduje się ukryta między drzewami mała, lecz ładna kapliczka, zbudowana w stylu gotyckim, od której ciągną się stacje krzyżowe, porozwieszane na drzewach. Po kwadransie uciążliwej drogi, Ojciec prowadzący nas, wskazuje dużą skałę i objaśnia, że to pustelnia. Widzimy coś dziwnego. Skała ogromna, na której z pewnością dłuto nie spoczęło, przedstawia z profilu jakby twarz człowieka.

Może być, że fantazja wiele dodaje, ale mnie, patrzącemu na nią, zupełnie się wydawało, że widzę twarz pustelnika. Czoło, oczy, nos, a wreszcie długa broda, tak łudzące przedstawiają zjawisko, że przez kilka minut staliśmy zapatrzeni na dziwny profil skały.

Z podziwu obudza nas skrzypnięcie wrót. Odwracamy głowy i przy sztachetach, których przedtem nie zauważyliśmy, widzimy księdza, który z uśmiechem zaprasza nas do wejścia. „To pustelnik!“ Postać wysoka, szczupła, długa broda, bronzowy habit, opasany białemi sznurami, na których wisi różaniec i krzyż. Na nogach pielgrzymie sandały.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — powiedział na przywitanie.

— Na wieki wieków! — odpowiadamy i wchodzimy do wnętrza. Malutki domek mieszkanie pustelnika, mały lecz ładny kościołek, studnia, oto wszystko, co zadowala dzisiaj człowieka, który w pełni życia usunąwszy się od świata, jedyną ma myśl: Służyć Bogu, a dosłużyć się nieba. Pustelnikiem, jak nas później objaśniono, jest obecnie B. Jemkiewicz, Reformat.

Snadź wszyscy jesteśmy w duchu skupieni, bo panuje ogólne milczenie. Wśród drzew słychać tylko szum wiatru i świegot ptasząt. Po długiej chwili milczenia, zaczynamy szczegółowo zwiedzać pustelnię i zaproszeni przez pustelnika, wchodzimy do jego mieszkania. Wszystko tu proste. Deska służy za posłanie, prosty krzyż dębowy za godło i całą przyjemność życia, a patrząc na to zdaje się nam, że nie jesteśmy u schyłku XIX wieku, ale, że cofnęliśmy się o jakie pięć wieków wstecz...

Po zwiedzeniu mieszkania, oglądamy kościółek, w którym pomodliwszy się chwil kilka, wdzieramy się na skałę, która u podnóża góry tak dziwne przedstawia zjawisko. Nie szkoda trudów, nie żałujemy kilku chwil niebezpiecznych, gdyż ze szczytu skały cudowny roztacza się widok.

Zwiedziłem dosyć pięknych miejsc, widziałem na Wschodzie wspaniałe krajobrazy, lecz tak uroczego widoku nie zdarzyło mi się dotąd nigdzie widzieć. Dość, że stoimy wobec ogromu piękności, której jednem spojrzeniem objąć nie można. Tam w dali sine pasmo gór, ozłocone promieniami zachodzącego słońca, bliżej klasztor szczyrzycki, przy którym wije się srebrna wstęga wody, pod nami lasy o różnych barwach, oto krajobraz roztaczający się ze skały pustelniczej.

Stoimy kilka chwil w zachwycie, lecz, że niestety na świecie wszystko się kończy, raz jeszcze rzucam okiem na prześliczny krajobraz i schodzę ze skały. Pożegnawszy pustelnika, wracamy z powrotem do klasztoru.

Teraz kolej na zwiedzenie bibljoteki klasztornej. Znawca i amator starych rękopisów i ksiąg, może znaleźć tutaj skarb prawdziwy. Oglądaliśmy przywileje i różne nadania, królów, książąt, wojewodów i panów polskich, są tutaj ozdobne stare rękopisy, przepisane księgi, scholastyczne dzieła z XIV i XV stulecia. Najstarszy dokument, jaki miałem sposobność oglądać, jest pisany skracaną łaciną i pochodzi z r. 1245. Drugi sięga roku 1265. Do obu dokumentów dodane są pieczęcie woskowe, na których, o ile rozpoznać mogłem, znajduje się wyciśnięty herb gryf. Wogóle i późniejsze dokumenty, a jest ich bardzo wiele, pieczętowane są po największej części tym samym herbem. Oprócz tych, znajduje się tam wiele dokumentów z pieczęciami królewskiemi, biskupiemi, ziemskiemi, wojewodzińskiemi, a nawet starościńskiemi.

Z bibljoteki udaliśmy się do zakrystji kościelnej, gdzie Ojciec Tajduś pokazywał nam stare ubiory kościelne. Jeden n. p. ornat, pochodzący prawdopodobnie z XIII wieku, jest cały tkany ze złota, a tak ciężki, że go dzisiaj używać już nie można. Inny, sądzę o wiele późniejszy, przeznaczony do mszy żałobnych, odznacza się bardzo ładnym haftem na ciemno-fjoletowym atłasie.

Oglądnąwszy jeszcze wiele ornatów, kap i starych kościelnych przyborów, zwiedziwszy ładny klasztorny kościół i obejrzawszy jeszcze 6 lwów z drzewa, które znajdują się w każdym kościele OO. Cystersów, gotujemy się powoli do powrotu. Z prawdziwym żalem żegnamy Wbnych Ojców, których serdeczna gościnność tak przyjemnie nam dzień spędzić dozwoliła. To też z tego miejsca niech przyjmą Wielebni Ojcowie, tudzież inicjatorowie tej wycieczki, państwo Podgórscy, za te chwile, tak mile przepędzone, serdeczne staropolskie: „Bóg zapłać!“ *Kamil Ściślowski.*

Na półwyspie Apenińskim.

Wrażenia osobiste spisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy).

XII.

Bryganci.

— Oddaj mi nożyk! — woła jeden malec.

— Nie oddam! — odpowiada drugi.

Scena odbywa się w polu za domami: malce pasą bydło.

— Oddaj! — powtarza pierwszy — bo cię zabiję!

— A no, spróbuj!

Wszczyna się bójka i krew się leje. Wprawdzie na krzyk słabszego zbiegają się starsi, którzy w winnicach pracowali, i rozbrajają zapaśników, ale jutro sprzeczka pewnie się ponowi, a gdy obadwaj dorosną, będą z nich — bryganci.

Giovani i Lodovico kochają jednę dziewczynę; ona sprzyja pierwszemu. Drugi nie ustępuje jak tego honor wymaga, lecz zabija współzawodnika, i zostaje bryganiem.

S. nie lubi płacić podatków. Władza upomina go kilkakrotnie, wreszcie przysyła mu egzekutora. S. ujrzawszy u siebie poborcę, wpada w gniew, wyciąga nóż z za cholewy i przebija nim urzędnika. Po takim czynie nie pozostaje mu nic, jak pójść w bryganty.

T. został w tavernie przy grze wypoliczkowany. Nazajutrz człowiek, który go obraził, zginął pchnięty żelazem skrytobójczem. Głos powszechny wskazuje T. jako sprawcę zbrodni. Policja udaje sie do jego mieszkania, ale już go tam nie ma. On od dwóch dni uwija się z brygantami...

U. jest leniwy, jak każdy Włoch w prowincjach południowych — całemi dniami włóczy się po ulicach, lub nad brzegiem morza, kradnąc przechodniom chustki, zegarki i pugilaresy. Ale że każdy dobrze się dziś zapina, a chustki same tak małą wartość przedstawiają, więc pan U. chodzi głodny, złorzecząc zawistnemu losowi. Widząc, że przemysł tego rodzaju nie zaprowadzi go daleko, postanawia zrabować kogoś w domu, a gdy mu się to powiedzie, zostanie brygantem na całe życie.

Jeżeli do przykładów powyższych dorzucę namiętności polityczne, defraudacje popełniane w kasach rządowych i prywatnych, wreszcie niesłychane pragnienie wolności indywidualnej, do której każdy Włoch wzdycha, łatwo czytelnik pojmie, co na półwyspie Apenińskim podsyca brygantyzm. Rekrutuje on się prawie co dzień i niemal z wszystkich warstw społeczeństwa.

W prowincjach północnych nie przybrał on nigdy większych rozmiarów, gdyż panujące tu rządy, starając się utrzymać przynajmniej pozory dobrych rządów, ścigały rozbójników. Natomiast w królestwie Neapolitańskiem, brygantyzm stał się niemal instytucją narodową. Rząd włoski nie może go tam wytępić do dnia dzisiejszego, a dopóki góry rzymskie, Abruzzy i cała Sycylja nie zostaną poprzecinane dobremi drogami, i dopóki społeczeństwo nie umoralni się do tego stopnia, by każdy obywatel nie lękając się możliwej vendetty, poczytywał sobie za obowiązek świadczyć przeciw zbrodniarzom, dopóty tam nie będzie mowy o radykalnym wykorzenieniu tej plagi.

Wśród takich stosunków, łagodność nie doprowadzi do celu. Na terroryzm jest tylko jedno lekarstwo — terroryzm. Rozumiał to Joachim Murat, i gdyby on był dłużej panował, w południowych prowincjach włoskich możeby do dziś dnia nie było jednego bryganta.

Straszne rzeczy działy się w r. 1809. Sądy królestwa wykazały w tym jednym roku 30.000 wypadków brygantyzmu, 30.000, to nie drobnostka! Murat poznał, że trzeba działać sprężyście, i w tym celu wydał najsurowsze rozporządzenia. Naczelnicy wojskowi otrzymali rozkaz sporządzenia list wszystkich osób podejrzanych. Kto się na tej liście znalazł, był na śmierć skazany. Listy zostały przybite na wszystkich miejscach publicznych, a kto nazwiska skazańców przeczytał, był obowiązany pod karą śmierci, zabić lub przytrzymać każdego, gdyby go zobaczył. Równej karze ulegał ten, kto był znany jako przyjaciel lub powiernik skazańca. Rodziny zaś naczelników lub wybitniejszych brygantów, zostały uwięzione jeszcze przed sporządzeniem owych list, a ich majątki uległy konfiskacie.

Rząd przeraził się, gdy wszystkie listy przyszły: on spodziewał się tylko znacznej liczby brygantów, a tymczasem była to cała armja, którą gdyby była zgodnie postępowała, nieliczni Francuzi byliby musieli wynieść się z kraju. Na szczęście jednak, wąż miał liczne głowy, a więc łatwiej można go było pokonać.

Odtąd policja miała najobszerniejsze pełnomocnictwo, w dodatku otrzymała jeszcze jednę ustawę, która każdą gminę robiła odpowiedzialną za czyny brygantyzmu, popełnione na jej terytorjum. Wkrótce też wszystkie więzienia były przepełnione. Jęczeli w nich rodzice, których synowie znajdowali się na liście, niewinne siostry których bracia byli podejrzani — nawet małe dzieci. Terroryzm panował.

Najwybitniejszym przedstawicielem tego systemu był jenerał Manhes, który rządził w Kalabrji. Chcąc brygantyzm zniszczyć jednym zamachem, przedsięwziął on środki odpowiednie. We wrześniu i październiku 1809 r. uorganizował swoją armję i milicję obywatelską, a gdy już z pola wszystko zostało zebrane, rozpoczął łowy. Bryganci byli zwierzyną, każdy obywatel mogący broń udźwignąć strzelcem. Jedyną karą była kara śmierci. Jej podpadał każdy, kto bodaj jedno słowo z brygantem wymienił, kto brygantowi dał kawałek chleba lub kroplę wody, kto poza domem swoim miał w kieszeni bodaj kęs chleba! Pola leżały odłogiem, a przy każdej większej trzodzie, która pasła się w znaczniejszem od wsi oddaleniu, znajdowali się żołnierze. Po uorganizowaniu tego systemu ogłodzenia, rozpoczęły się łowy właściwe. Straszne, niesłychane rzeczy, opowiada historja z owych czasów, ale kraj został oczyszczony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MONTE-LEONE.

POWIEŚĆ

Pawła d'Aigremont. (85)

(Ciąg dalszy).

— Pan nie jesteś wymagającym.

— Ah! chyba mi nie zbywa na żądzy wyniesienia się, lecz każdy czyni, co może. Wszakże na myśl mi przychodzi, że może mój ojciec zna kogo takiego, komu wyświadczył jaką przysługę, a który będzie w możności dopomódz mi w tym wypadku.

— Kto wie — odezwała się Noretka — w każdym razie chciałabym wiedzieć o tem jak można najwcześniej.

— Czy pani tu przyjdzie jutro rano? — zapytał malarz — mógłbym przynieść pani odpowiedź.

— Jutro rano, nie, muszę udać się do bibljoteki dla rozejrzenia się w niektórych dziełach.

— Dobrze, pójdę zatem do bibljoteki. Czy obecność moja nie będzie pani zawadzała?

Ona wzruszyła ramionami, i już miała wygłosić jakąś odpowiedź z wdziękiem, cechującym całe jej obejście, kiedy zastanowiwszy się, rzekła półgłosem, jak gdyby sama do siebie:

— Czy to podobna, aby mężczyźni, nawet najrozumniejsi, byli tak głupimi?... Ostatecznie trzeba ich brać takimi jakimi są?...

— Co pani chcesz powiedzieć, panno Noretko — zawołał Maurycy, który z jej powodu przechodził z najwyższej radości do najstraszniejszych niepokojów.

Ona składała kartony.

— Nic — odrzekła. — Niedługo południe i jeśli nie chcę, aby znowu mama Katarzyna myślała, żem umarła, muszę zmykać do domu. Zawołaj mi pan moją nianię, jeżeli łaska?...

Popędził jak strzała, by rozkaz jej spełnić. Zeszli razem ze schodów, lecz znalazłszy się na samym dole, ona wyciągnęła do niego śliczną swoją rączkę, lecz mocno opaloną, bo rzadko kiedy nosiła rękawiczki — i powiedziała mu:

— Do widzenia, jutro!...

— Niech pani pozwoli towarzyszyć sobie, chociaż troszeczkę, choćby do rogu ulicy de l'Opera?...

— Ażeby spotkano nas razem, prawda?... I żeby te wszystkie piękne panie, które przychodzą do nas, wzięły mnie na ząbki, czego z pewnością nie omieszkałyby uczynić! Nie, nie, tak nie można, idź pan w stronę przeciwną.

A widząc przykre rozczarowanie, odbijające się na obliczu młodego człowieka, dodała:

— Czyż pan nie powinieneś być najpierwszym, któryby zrozumiał i pragnął, żeby nie narażać mojej opinji?...

To odezwanie się było tak wymownem, tak znacząco obiecującem, że biedny chłopiec aż się zatoczył ze zbytku szczęścia.

— Więc ona mnie kocha! — mówił sobie w duchu — kocha mnie!... I przypuszcza, iż mogą dla nas istnieć jakieś zamiary na przyszłość!...

Zaćmiło mu się w oczach; gdy oprzytomniał, Noretka była już daleko.

Lekkim i szybkim krokiem paryżanki, przeszła w poprzek szerokiej ulicy, przemykając się pomiędzy powozami, giętka jak jaszczurka, bez obawy, nie oglądając się, a Bastjan zaledwie mógł za nią zdążyć; wszyscy zaś wielbiciele ładnych panienek oglądali się za nią, by dłużej nasycić oczy jej zręczną figurką i wdzięcznemi ruchami.

Pod arkadami ulicy Rivoli zatrzymała się chwilę, zachwycona pięknościami, jakie Lenoir wystawia w witrynach, dla schlebienia kokieterji kobiecej. Następnie ruszyła dalej środkiem placu Palais Royal, zawsze z elegancją pewną siebie; i za rogiem Teatre-Français zniknęła mu z oczu.

— Boże mój — rzekł młody malarz — jakaż ona ładna; pełna wdzięku i szyku! Już dwa lata widuję ją codziennie, dwa lata, jak za każdem spotkaniem, odkrywam w niej coraz więcej zalet, które tak wybitnie malują się na jej pięknej twarzy. Ah! co to będzie za nieporównana żonka, jeżeli kiedyś zechce przyjąć moje nazwisko!... Lecz to niepodobieństwo, ona za ładna na to!... Czyż jaki kawaler bogatszy, rozumniejszy i piękniejszy odemnie, nie porwie mi jej na zawsze?

Nareszcie. by spełnić jej życzenie, zwrócił w ulicę Saint-Honoré, nie chcąc nawet z daleka iść za nią, i minąwszy Halle, przez ulicę Montmartre skierował się ku bulwarom. Szedł z głową pochyloną, mając tylko przed oczyma swoje bóstwo, swoją pierwszą i jedyną miłość, której pragnął życie całe poświęcić.

Przy wejściu na ulicę przedmieścia Montmartre, jakiś młody człowiek, idący ze strony przeciwnej, zagrodził mu drogę i, uderzywszy go po ramieniu:

— He! Fontenay — rzekł do niego ze śmiechem — bardzo dziś jesteś zamyślony. Miałżebyś marzyć o swojej kochance?...

Maurycy drgnął, brwi lekko zmarszczył, i odpowiedział z widocznem rozdrażnieniem:

— Nie wygrałeś jeszcze na loterji umiejętnego zachowania się, biedny mój Maksymie, zawsze musisz strzelić jakiegoś bąka. Ja nie mam kochanki.

Twarz tego, do którego skierowaną była ta mowa, przyoblekła się wyrazem nieudanej skruchy. Był to chłopiec równy wiekiem Maurycemu Fontenay a może nieco młodszy. Bardzo wysoki, szczupły i niezgrabny, nie umiejący sobie poradzić z rękami. Miał twarz nieznaczącą, prawie brzydką, z czołem nadto szerokiem, z kaczkowatym nosem, zarost rzadki i młody mszył mu się na brodzie; całą atoli jego brzydotę naprawiały oczy duże niebieskie, prosto i jasno patrzące.

Miały one wyraz szczerej dobroci, uderzająco podobny do wyrazu oczu Maurycego, dla którego młody ten człowiek żywił prawdziwe przywiązanie. Tem więcej zadziwiająca była ich piękność i szlachetność, że był synem Ludwika Berthier i Sylwji. Pomimo wychowania, które mogłoby zepsuć go do szpiku kości, choćby był synem najzacniejszych rodziców, Maksym sam przez się stał się najlepszą z istot, najszlachetniejszą i najbardziej prawą, jaką wymarzyć można. Prawie, że rówieśnik Maurycego Fontenay, siedział z nim na jednej ławce w tem samem liceum. I przez wszystkie czasy syn Sylwji przejęty był uwielbieniem dla kolegi, który zawsze był pierwszym, a jednocześnie bardzo dobrym; nikomu nie szkodził, żadnej krzywdy nie wyrządził, nie skłamał i nie zdradził nikogo. Zgoda niezmącona panowała pomiędzy młodymi ludźmi aż do dnia, w którym Marcin Fontenay wystąpił z domu Berthier, gdzie był pełnomocnikiem, od czego nie były w stanie go odwrócić ani obietnice, ani podwyższenie pensji, ani inne zabiegi.

Rzeczywiście, ojciec Maurycego rozstał się z bogatym bankierem na kilka lat przedtem i osiedlił się przy ulicy Petites Ecuries, gdzie zajmował się po trosze sprawami bankowemi i operacjami giełdowemi, a wszystko na rachunek klijentów znanych mu od Berthierów, którzy ufali jego ścisłej i niezachwianej uczciwości.

Helena Fontenay umarła oddawna na gorączkę tyfoidalną. Marcin sam wychowywał syna, kochając go za dwoje. Wbrew wszelkiej ostrożności, jaką zachowywał względem młodego człowieka, po ostatecznem postanowieniu powziętem, by rzucić dom Berthiera, nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia kilku słów oburzenia i gniewu:

— A! nędznicy!... oni zdolni są do wszystkiego!...

I na złość wszystkim listom, pisanym przez Ludwika Berthier, Marcin nie przestąpił progu jego domu, a tembardziej nie chciał przyjąć u siebie bogatego barona, gdy tenże raczył się trudzić do niego z wizytą.

— Co on takiego zrobił? — pytał Maurycy, dość już wtenczas duży i rozsądny, aby ojciec nie mógł go wtajemniczyć w wiele rzeczy.

— Nic — odpowiadał były pełnomocnik — w tym przedmiocie usta moje powinny być zamknięte... Zresztą, to jest zbyt ważne, bym mógł mówić o tem z chłopcem w twoim wieku.

Maurycy nie nalegał, wiedząc, iż z ojcem daremnieby się trudził.

Lecz przywiązanie, jakie miał dotąd dla Maksyma, ochłodło, i tak samo, jak ojciec, nie postał już w pałacu i parku Monceau, a przy spotkaniu syna Sylwji, nader oględnie przyjmował jego oświadczyny i dowody przywiązania, które Maksym niestrudzenie mu okazywał.

— Przysięgam ci, Maurycy — mówił do swego dawnego kolegi, że niczem nie chciałem cię obrazić. Zresztą, jeżeli nadmieniłem coś o kochance przypuszczalnej, to nie przywiązywałem do tego żadnej złej myśli. A czyż dawni poeci francuscy nie nadają tego miana damie naszych myśli, tej, której nawet końcem palca nie poważylibyśmy się dotknąć, lecz która jest celem wszystkich naszych dążeń i pragnień?...

— Jakto, Maksymie, ty, syn Ludwika Berthier odzywasz się w ten sposób?... Chyba, że cię mamka zamieniła... Czyż w świecie, w którym ty żyjesz. jest coś więcej nad pieniądz?... Nie przypupuszczam...

(Ciąg dalszy nastąpi).

CO ŻYCIE NIESIE.

UWAGI.

Skończyły się wybory, walka plakatowa ustała, Kraków uszczęśliwiony! Tak jest, cieszy się gród podwawelski, bo do grona ojców miasta przybyło mu dwóch — żydów! Doniosły ten fakt także nas dumą przejmuje i szczęście nasze nie miałoby już granic, gdyby nie jeden wypadek, który z oczu łzy nam wyciska...

Oto dr Lesław Boroński, zwany także Leszkiem Białym, legł jak długi i nie dźwignie się raz drugi.

A mąż ten padł mimo gorących próśb, wysyłanych ze szpalt *Nowej Reformy*, pod adresem inteligencji, by go koniecznie wybrała; mimo uroczystych zapewnień ze swej strony, że jest mężem wielce pracowitym i zasłużonym; mimo obietnic, że on jeden miasto zbawi.

Niewdzięczny Krakowie, jakżeś mógł ukamienować własnego proroka!

Ciekawy był artykuł, ogłoszony w *N. Fr. Riforme* na dzień przed wyborami, w którym dr Lesław Boroński przemawiał z trójnoga. Z niego dowiedzieliśmy się: 1) że są dziennikarze oszczercy; 2) że są dziennikarze awanturnicy; 3) że *N. Reforma* nie zebrała majątku, bo zbyt uczciwie sprawie służyła.

Każdy z powyższych trzech punktów domaga się odemnie wymownego komentarza, a chociaż, gdy go spisywać będę, dr Abłamowicz może znów powie, że sobie reklamę robię, mimo to jestem zmuszony umieścić tu moją osobę, bo inaczej to, co dr Boroński ogólnikowo powiedział, nie byłoby należycie zrozumiałe.

Czy chcecie państwo wiedzieć, jak postępują dziennikarze oszczercy?

Gdy trzy lata temu wybrałem się do Ameryki za pieniądze własne, a nie za składkowe, lub od kogo wyżebrane, a wybrałem się jedynie w tym celu, by przekonać się tamże naocznie, czy z Polonią amerykańską nie możnaby nawiązać literacko-wydawniczych stosunków, wtedy tu, w Krakowie, *N. Reforma*, wydawana przez dra Lesława Borońskiego, mnie, swego dobrodzieja, który jej dawał niegdyś powieści zadarmo, napadła w sposób zdradziecki i podczas gdym był tysiącem mil oddalony i nie mogłem się bronić, wmawiała w polskie społeczeństwo, żem pojechał za Atlantyk obdzierać Polaków. Kiedy potem cała polska prasa w Ameryce wzięła mnie w obronę i zawołała: to potwarz! p. Boroński w swoim organie nie odwołał oszczerstwa, bo mówił sobie w duchu: Niech zostanie oszczerstwo, którem nań rzucił, bo może coś z tego na nim przylepnie.

Kiedym z Ameryki powrócił i dowiedział się o tem, rzekłem do mych przyjaciół: Zdemaskuję tych szalbierzy politycznych, wykażę ohydę ich oszczerstw, zmiotę ich! — To samo wydrukowałem potem w prospekcie do *Głosu Narodu.*

Czy p. Boroński padając sromotnie ubiegłej środy przy urnie, nie pomyślał przypadkiem, jaka kara oszczerców spotyka?

Wydawca *Nowej Reformy* utrzymuje także, że mamy dziennikarzy awanturników. Prawda to święta i zaraz opowiem jak tacy awanturnicy wyglądają.

Ja n. p. już w r. 1864, t. j. w epoce gdym miał dopiero lat 18, zacząłem pisywać z Włoch do *Gazety Narodowej* listy polityczne, oznaczone literami (A. J. O.) i nie musiały one należeć do najgorszych, skoro jeszcze dziś można spotkać ludzi, którzy je pamiętają. Później, od r. 1868 do 1879 byłem redaktorem *Dziennika Polskiego,* któremu własną pracą zapewniłem byt, gdy się chylił do upadku i lada dzień miał przestać wychodzić. Założyłem wtedy także pismo literackie *Tydzień*, o którem P. Chmielowski mówi w swojej „Literaturze“ że było najlepsze w Galicji. Gdym się na wieś przeniósł, przez lat 10 pisywałem listy polityczne do *Kraju* i *Ateneum*, dla których sama *Nowa Reforma* nie miała dość słów pochwały; napisałem 57 tomów powieści, studjów, podróży i prac czysto publicystycznych, i wszystkie, krom kilku, które w ostatnich dwóch latach wyszły, są wyczerpane, co chyba świadczy wymownie, że nie muszą być liche; zwiedziłem dwie półkule, nauczyłem się głównych języków, w końcu założyłem *Głos Narodu* z programem, któremu od dziecka hołduję.

Chyba nikt nie zaprzeczy, że taki człowiek ma prawo redagować dziennik i może na to liczyć, że będzie czytany.

A co teraz powiedzieć o wydawcy *Nowej Reformy?* Mówią mi, że jako dependent adwokacki ubierał się on według najświeższej mody, perfumował się i nosił lakierki, gdyż liczył na to, że znajdzie klientelę pośród arystokracji; dopiero gdy to go zawiodło, włożył czamarę, zaczął bratać się z rzemieślnikami i miasto kancelarji pilnować, puścił się na dziennikarza. Czyż człowiek ten, który odkąd żyje, nie napisał ani jednej broszury, ani jednego porządnego artykułu, który nic nie widział i nic porządnie nie umie, nie zasłużył całkiem sprawiedliwie na nazwę dziennikarza-awanturnika?

Ależ p. Boroński, na co było wywoływać wilka z lasu?

Wydawca *Nowej Reformy* mówi, że nie wzbogacił się ani on, ani jego pismo. Prawda, ale za to zubożeli ci, którzy bodaj otarli się o ten organ przezacny. Ileż to monety uronił p. Czerwiński z Fürstenhofu, a ile akcyj po 100 guldenów rozeszło się po świecie? *Nowa Reforma* do dnia dzisiejszego pożarła może 200,000 złr. cudzych pieniędzy i dziś — jak wiarogodna wieść niesie — tak stoi, że lada dzień można spodziewać się jej likwidacji. A czemu to *Głos Narodu* nie wyżebrał od nikogo ani grosza, czemu ten jeden ani do banków nie chodzi po pożyczki, ani nie umizga się do subwencji, czemu ten jeden może dumnie każdemu powiedzieć: Stoję o własnych siłach! Wiecie czemu? Bo jest on redagowany przez publicystów z łaski Bożej, a *Nowa Reforma* przez dziennikarzy-awanturników!

Lecz nie koniec. *Głos Narodu* służy narodowi — a *N. Reforma* służyła zawsze koterji. Pierwszy myśli o tem, by wszystkim dobrze było — drugi dba tylko o to, by jej osobiści przyjaciele wspinali się coraz wyżej. *Głos Narodu* broni nareszcie chrześcijan i wespół z nimi pracuje — *N. Reforma* od lat 15 żydom wodę nosi, a że ostatni ten zarzut jest słuszny, okazało się to w tych dniach. O głośnem fałszerstwie wyborczem, którego dopuścił się żyd na p. Murczyńskim, w *Nowej Reformie* nie było ani wzmianki. Czyż tak postępuje dziennik uczciwy, pragnący zaskarbić sobie zaufanie publiczności?

Sądzę, że p. Boroński zrozumiał nareszcie, jak wyglądają publicyści z łaski Bożej, a jak dziennikarze-awanturnicy i oszczercy—i chyba więcej się już nie dziwi, czemu jego pismo nie ma powodzenia i czemu on sam tak sromotnie upadł przy urnie.

A że pismo jego nie dźwignie się więcej i on sam upadł na zawsze — za to ręczę.

* * *

Jeżeli wielka jest radość astronomów, ilekroć przypadkiem powiedzie im się odkryć jaką nową gwiazdę, to nie mniejszą jest dziś radość moja, że na widnokręgu Krakowa pierwszy odkryłem znakomitość z konstelacji gwiazd *coltunensis*, która odtąd będzie nam jasnem światłem przyświecała.

Wspaniałej tej gwieździe na imię: Jan, na nazwisko: Kwiatkowski. Droga, którą przebiega, zaczyna się w kopalniach węgla, a prowadzi przez składy w Krakowie prosto do kieszeń kupujących.

Aby jednak lepiej to zrozumieć, co zamierzam opowiedzieć, muszę cofnąć się pamięcią prawie o ćwierć wieku.

Przed dwudziestu trzema laty wydałem we Lwowie pierwszy tom „Chorób Galicji“. W nich, pisząc o sprawie żydowskiej, zaznaczyłem, że w Polsce nikt na nią uwagi nie zwraca (między autorami polskimi byłem pierwszy, który o niej pisał) niemniej przeto jest ona niezmiernie doniosłą i nie wahałem się wypowiedzieć przekonania, że żydzi nie są właściwie narodem, lecz wielkiem stowarzyszeniem, spekulującem na ludzkie słabości i namiętności, które wszystkich Aryjczyków niewątpliwie roztoczy i zniszczy, jeśli ci w czas nie opamiętają się i nie pomyślą o środkach ochronnych.

W kilka dni po ukazaniu się mojej książki, spotkałem w cukierni jednego z najgłośniejszych adwokatów-żydów. który z właściwą swej rasie arogancją i niedelikatnością, zaczął natychmiast mówić o mojej pracy i przeszedłszy na sprawę żydowską, wręcz mnie zapytał:

— Więc pan jesteś za tem, by żydzi wynieśli się z Galicji?

— Sprawiłoby mi to wielką przyjemność.

— A wie pan, coby się wtedy stało?

— Ciekawym.

— Polska tak samoby zbankrutowała, jak Hiszpanja po wypędzeniu Maurów.

Com wtedy na ten czelny frazes odpowiedział, o tem cierpliwy czytelnik dowie się trochę niżej, gdzie ówczesne słowa moje wiernie powtórzę.

Od tego czasu nie raz i nie dwa, ale może sto razy słyszałem, jak semici i ich gorliwi poplecznicy przyrównywali żydów do Maurów — onegdaj zaś dowiedziałem się z *Wiener Allgemeine Zeitung*, (numer z dnia 25 b. m.), że to samo powiedział o naszych najserdeczniejszych mieszczanin krakowski, p. Jan Kwiatkowski.

Głębokie tego myśliciela uwagi i przekonania, musimy teraz przekazać najdalszym pokoleniom.

Dziennik wiedeński, którego tytuł powyżej przytoczyłem, wysłał jakiegoś szmajgełesa do Galicji i ten chodząc w Krakowie na chybił trafił, wpadnie czasem do człowieka prawdziwie wybitnego, jak n. p. O. Jan Badeni, albo też do kompletnego zera, jak p. Jan Kwiatkowski i wyciąga ich na słowa w sprawie antysemityzmu. Interwiewy te pojawiają się od niejakiego czasu w *Wiener Allgemeine Zei-*

tung, pod ogólnym tytułem: *Der Antisemitismus auf Reisen*. O niektórych z nich pomówię później; dziś zajmę się tylko głęboką erudycją p. Jana Kwiatkowskiego.

Oto mąż ten niepospolity, zapytany co myśli o antysemityzmie, zawołał między innemi:

— To wszystko fałsz, czysty fałsz! Antysemityzm wszędzie tylko nieszczęście zaszczepił. Na Hiszpanji mamy dowód wyraźny, co się staje w kraju, który wypędza najbardziej pracowitych i najruchliwszych obywateli. Nasi żydzi są tem samem dla Galicji, czem byli Maurowie dla Hiszpanji.

A więc p. Jan Kwiatkowski, kupczący węglem w Krakowie, mąż, którego wielce mądrego oblicza do tej chwili nie miałem jeszcze szczęścia oglądać — otóż ten wielki Jan Kwiatkowski powiedział onegdaj słowo w słowo to samo, co lat temu dwadzieścia trzy usłyszałem we Lwowie z ust adwokata-żyda i najwyższą obelgę rzucił w twarz całemu polskiemu społeczeństwu!

Czy też przypadkiem p. Kwiatkowski nie naczył się tej mądrości od p. Proppera, swego kolegi w Radzie miejskiej? Bo że nie zaczerpnął jej z książek, t. j. z historji, do której niewątpliwie od urodzenia głęboki wstręt czuje, o tem jestem przekonany. Wszak gdyby p. Kwiatkowski miał choćby ogólne pojęcie o tem, co się historją cywilizacji nazywa, to musiałby wiedzieć, że Maurów z żydami porównywać nie wolno, gdyż pierwszym by to ubliżało, a zaś drugich wbiłoby to w pychę szatańską.

Maurowie podbiwszy Hiszpanję, kraj dziki, pozostający wtedy na bardzo niskim stopniu cywilizacji, krzewili w nim nauki i sztuki, zakładali uniwersytety najsławniejsze w świecie, bibljoteki, podłożyli fundamenta pod matematykę i chemję, oddawali się namiętnie astronomji, krótko mówiąc byli geniuszem narodu. Rzecz prosta, że gwałtowne pozbycie się tej inteligencji, musiało dla rasy umysłowo słabszej, która na miejscu została, smutne za sobą pociągnąć następstwa.

Otóż takimi byli Maurowie.

A żydzi w Polsce czem się wsławili? Jedyna nauka, jakiej namiętnie zawsze się oddawali — to badanie Talmudu. Zamiast astronomji, krzewili astrologję, aby łatwowiernych gojów wyzyskiwać i oszukiwać; matematyki używali tylko do podwyższania procentów w nieskończoność; chemji do fałszowania napojów i artykułów spożywczych; w budownictwie nie dali nam ani jednej Alhambry, za to zasypują nas kuczkami; w malarstwie skończyli na fotografjach licho retuszowanych. Oto ich dorobek dziejowy, oto ich skarbnica cywilizacyjna! Gdzież choćby jeden uniwersytet przez nich założony? Wszak przez ciąg tylu wieków nie zrobili oni ani jednego wynalazku, bo nawet weksel, choć nim tak sprytnie operują, jest pochodzenia rzymskiego. I tobie się zdaje, głęboko uczony panie Kwiatkowski, że ubytek kupczących pośredników, z kraju pod względem cywilizacyjnym tak już wysoko stojącym, jak Polska, byłby dla nas takiem nieszczęściem, jak ubytek Maurów dla Hiszpanji? Ależ panie Kwiatkowski, do książki, do książki — bo węgle takich rzeczy nie nauczą. Lecz i bez książki mógłbyś się pan jako tako zorjentować w tym niezbadanym dla siebie labiryncie, który się sprawą żydowską nazywa, gdybyś miał choć talent obserwacyjny. Wszak o kilka mil od nas jest miasteczko Żywiec, w którym nie ma ani jednego żyda, w którym sami Aryiczycy żyją i pracują, a mimo to ludzie tam szczęśliwi, i nie tylko nie upadają, ale wznoszą się coraz wyżej. Tam, panie Kwiatkowski masz najjaśniejsze rozwiązanie tej zagadki społecznej.

O! ty rozczulająca naiwności, która w prostocie swego ducha sądzisz, że największe zagadnienia społeczne, można rozstrzygać usłyszanym gdzieś frazesem, jakże mnie rozweselasz!

Na co było puszczać się na interwiewy — kuda kuchti do patyny!

* * *

Poczciwi Polacy, jakże łatwo wziąć was za serce! P. Teofil Merunowicz, znany publicysta, stary mój znajomy od ław szkolnych, człowiek, który na sprawę żydowską zawsze trzeźwo patrzył, wypalił teraz sążnisty hymn w łamach *Gazety Narodowej* na cześć Węgrów, o których mówi, że są naszymi serdecznymi przyjaciółmi. Zacny p. Teofil pojechał do Pesztu na kongres dziennikarski i tam tak go chwycili za serce, że nie oddzielił szychu od złota, obłudy od szczerości, kłamstwa od prawdy i uwierzył, że zżydziali Węgrzy mogą nam dobrze życzyć. Niech się łatwowierni łudzą, nie my!

I nietylko my jedni tak ich oceniamy. Wszyscy przezorni odwracają się od nich ze wstrętem, a nawet ludzie tak zimni, jak technicy, nie chcą o nich nic już słyszeć. Właśnie mam w ręku nr. 12 fachowego pisma *Central-Organ der Civiltechniker*, wydawanego we Wiedniu, w którym prezes Towarzystwa techników donosi, że zamierzona wycieczka do Pesztu do skutku nie przyjdzie, ponieważ nie zgłosiła się dostateczna liczba uczestników! A technicy lwowscy czy bądą mniej niezawiśli od niemieckich swoich kolegów i czy pojadą do Pesztu pokłonić się nieprzyjaciołom Chrystjanizmu i wszystkiego co słowiańskie?

Oby ich Bóg oświecił i od fałszywego kroku powstrzymał!

Kraków dnia 27 czerwca. *Verax.*

UPARTY SZWARC.

Bajka z Lotaryngji.

I.

— Puk! puk! puk!...

— Kto tam?...

— To ja.

— Co za ja?...

— Śmierć!...

— Proszę! bardzo proszę! jakże się pani śmierć ma?...

— Dziękuję, wcale dobrze.

— A cóż panią sprowadza do mnie? taka słota na dworze, pewnie pani chciałaby rozgrzać się trochę przy kominku, proszę siadać, bardzo proszę.

— Ja tam nie mam czasu na rozgrzewanie się, przyszłam zabrać ciebie, mój ty grzeczny panie Szwarc, bo i ty jesteś na dzisiejszej liście.

— Już? pani się chyba myli, przecież ja dopiero w maju skończę dwadzieścia lat, w tym wieku żaden rozumny człowiek nie umiera!... Wiesz, cioteczko, co ja ci powiem?... Najlepiej wracaj do domu, a po drodze zabierz sobie wszystkie nieszczęśliwe dusze tych biedaków, co nie mają ani śniadania na jutro, ani kołderki dla dziecięcia, ani grosika dla żebraka, ja ci pokażę wielu takich, którzy wyglądają cię, jak zbawienia. — Mnie zostaw na przyszły raz — bo naprzód nie zrobiłem dotąd nic, ale to nic na świecie, tyle tylko, że pokochałem się w tej szkaradnej dziewczynie i dotąd nawet nie wiem, jakie to są te rozkosze życia, o których piszą i gadają tyle, a zresztą moi przyjaciele nie przebaczyliby ci nigdy w życiu tych łez, które z twojej przyczyny musieliby za mną wylewać. — Setnej części nawet tego, co mi się słusznie należy, nie użyłem na świecie, to byłaby dopiero sprawiedliwość, żeby moja porcja dostała się jakiemuś staruszkowi, o którym widocznie musiałaś zapomnieć, cioteczko. — Dajże mi pokój, bo nie mam czasu, chcesz spać? to dalej! masz tu moje łóżko, ja się i na ziemi doskonale przespać potrafię.

— A to ci gada, jak maszyna Edissona! to ci go nakręcili!... — Więc ty sobie myślisz, że ja nie dostaję rozkazów na piśmie z pieczęciami. Rozumiesz? z pieczęciami. Na dzisiaj przeznaczyli tysiąc dwieście pięćdziesiąt dwie dusz, a ty, rozumiesz, ty! jesteś tysięczną dwóchsetną pięćdziesiątą drugą duszą. No dalej, zapakuj swoje manatki i jazda!

— Ot, gadanie austrjackie! albo to mi piluo, albo co? a do tego pokochałem się w tej obrzydłej Kaśce, żeby tam nie wiedzieć co, to muszę ożenić się z nią, bo i ona okropnie mnie kocha, więc na rok musisz mnie zwolnić, bo to widzisz sama, że rok szczęścia z nią, to wystarczy na całe wieki. — Tylko rok! cioteczko! jeden roczek.— Zresztą patrz, jaki cudowny czas! kwiaty z pod ziemi wyrastają, wszak to wiosna! a ty chcesz mnie zapakować pod ziemię.

Śmierć uśmiechnęła się.

— Niech i tak będzie, za rok powrócę po ciebie i spodziewam się, że wtedy nie będziesz się tak bronił zapamiętale, sam pójdziesz za mną najchętniej.

— Ależ naturalnie! rachuj na mnie, jak na Zawiszę, wszystkie manatki spakuję na czas.

— Więc do widzenia! tylko nie zapomnij ożenić się z Kaśką jak najprędzej.

II.

Odeszła więc śmierć od Szwarcowego domu, chociaż naprawdę wstyd jej było, że tak pozwoliła się przegadać i poszła do starej praczki Gertrudy.

— Puk! puk! puk!... Cóż tam? czy jesteś w letargu ty stara? patrzcie no ją! ona śpi sobie w najlepsze, choć już tak późno. Dalej wstawaj, leniuchu!...

— W tej chwili wstanę!... Poczekajcie, sąsiadko! powiadam ci, co miałam za cudowny sen!...

— W tym wieku ma jakieś sny! coś jej się jeszcze marzy!...

Gertruda prędziutko się ubrała, myśląc, że to sąsiadka przyszła zamówić ją do prania; jakże się biedaczka przeraziła, ujrzawszy na progu swego domu śmierć okrutną; która, nie wysłuchawszy żadnych tłómaczeń, pochwyciła ją w swoje objęcia, chociaż staruszka chciała jej dowieść i to jak najdokładniej, że wcale jeszcze nie powinna umierać.

— Basta, dosyć, — powtarzała ciągle śmierć, unosząc swoją ofiarę — gdyby ich tak słuchać, to ani jedno nie poszłoby na tamten świat, dla nich zawsze zawcześnie przychodzę.

Widzicie zatem, jak to się stało, że zamiast młodego Szwarca musiała śmierć zabrać w ten dzień starą Gertrudę dla zamknięcia rachunku.

III.

Szwarc ubrał się w świąteczne suknie i poszedł na łąkę, ażeby uzbierać piękny bukiet z niezapominajek dla Kasi.

— Jedyna moja! ty wiesz, jak ja cię kocham. Patrz! już ptaszęta budują gniazdeczka, koniki polne śpiewają w zbożu, pszczoły walczą z motylami o pyłek z młodych kwiatów, pączki rozwijają się na drzewach!... Czy chcesz, ażebym ożenił się z tobą?

— Oddawna już cię kocham, mój Szwarcu! Serce moje należy do ciebie, pobierzmy się!...

Poszli więc we dwoje do księdza, który dał im ślub.

IV.

— Puk! puk! puk!

— Co? znów powróciłaś? Czyś ty oszalała, czy co, powiedzże sama? Dopiero co wyszłaś stąd i znów przychodzisz, nie rozumiem takiego natręctwa.

— To ty, mój drogi, nie umiesz rachować się z czasem, wszakże prosiłeś mnie o jeden rok zwłoki, a właśnie dzisiaj kończy się dwunasty miesiąc, czyli akuratnie termin dzisiaj upłynął.

— A prawda! to dzisiaj rocznica naszego ślubu, rzeczywiście tak jest, no! ale ty, cioteczko, jesteś poczciwą duszą i pozwolisz mi się ubłagać.

— Niestety nie wszyscy tego są zdania, tylko dla najnieszczęśliwszych jestem pożądaną, ale i to nie zawsze.

— Ależ tak! ja tam od swego nie odstąpię, jesteś poczciwą duszą i koniec! Także niby to byłoby ci przyjemnie, żeby Kasia została wdową i żeby ten mały brzdąc, co leży w kołysce, został sierotką; spojrzno tylko! ma już trzy tygodnie! to kawał chłopa nie na żarty; nie widziałem dotąd jak się śmieje, muszę przecie choć raz zobaczyć.

— Nie, nie i jeszcze raz nie!... Ja tam nie mam humoru do gawędy. Jazda w drogę! pożegnaj się z żoną i dalej za mną.

— Powiedz mi cioteczko, co ci na mnie zależy? ja, czy kto inny, byle był komplet.

— Więc ty myślisz, że drugiemu jest tak pilno pożegnać się z rodziną, z życiem, ze światem?...

— Moja cioteczko! Ja tam o nic wielkiego ciebie prosić nie będę, chcesz to mi zawierz: jeżeli pozwolisz mi żyć dłużej, to przysięgam ci, że cię sam zawołam jak tylko spełnię wszystko, czego pragnę.

— To znaczy, że cię już więcej nie zobaczę!...

— Ja tam nic tak wielkiego nie pragnę.

— Człowiek nigdy nie ma dość.

— Przekonasz się sama, cóż? zgoda?...

— Niech i tak będzie! choćby dlatego, ażeby się przekonać czy nie mam racji, mówiąc, że ludzie to są nigdy nienasycone istoty. Daruję ci sto lat! Cóż będziesz miał dość?...

— Po co aż tyle?...

— Więc masz dwieście — odrzekła śmierć, rozweselona widocznie.

— Wszakże ci mówię, że sto za wiele, daleko prędzej przywołam cię. — Czwarta część tej setki, dwadzieścia pięć lat to dla mnie zupełnie wystarczy, przez ten czas spełnię wszystkie moje zamiary i będę mógł pójść spokojnie z tobą.

— A ja ci powiadam, że i sto lat nie wystarczy na to, ażebyś zrobił wszystko, czego zapragniesz. Z ludźmi tak zawsze! Najlepszy dowód mam w tem, że każdy chce się doczekać starości.

— Jakto zestarzeć się? Pfe, lepiej za młodu umrzeć.

— No zobaczymy! Jeszcze na ten raz ci daruję, ale pamiętaj sobie, że kiedykolwiek mnie wezwiesz, stawię się natychmiast i rad nierad będziesz musiał iść ze mną.

— Zgoda cioteczko! uściskajmy się i do widzenia, zobaczysz jak niedługo zobaczymy się ze sobą.

Śmierć i Szwarc uściskali się na pożegnanie i każde z nich poszło w swoją stronę.

V.

Kostusia poszła stamtąd do starego rzeźnika Munszera.

— Puk! puk! puk!... Munszer, czyś ty w letargu?... Dobry sobie!... Śpi spokojnie o tej porze!... Słońce już dawno wstało, a ten wylega się w najlepsze!... Dalej! wstawaj!...

— Ale gdzież tam! Jakto? czy na prawdę? czy rzeczywiście już tak późno, czekajcie sąsiadko! w tej chwili wam otworzę, ale powiadam wam co mi się śniło!...

— Akurat wybrał się w sam czas z pięknemi snami!...

Biedak ubrał się jak najprędzej i pobiegł otworzyć drzwi, ale cóż za okropne było jego zdumienie, gdy zamiast sąsiadki zobaczył takiego gościa

Smierć pochwyciła go, nie słuchając żadnych tłómaczeń.

— Przecież na mnie jeszcze czas! — wołał rzeźnik.

— Ba, ba! żeby was tak słuchać, to trzeba byłoby pozamykać wszystkie cmentarze.

Widzicie zatem jak się to stało, że zamiast Szwarca śmierć musiała zabrać po raz pierwszy starą Gertrudę, a w rok później rzeźnika Munszera.

VI.

Szwarc jest już stary, bardzo stary, okropnie stary.

Powiadają sąsiedzi, że ma już chyba z pięćset lat, taki pokręcony, połamany, pomarszczony cały, żebrze przy gościńcu o kawałek chleba, biedny jest bowiem jak mysz kościelna, sypia w stajni pod stogiem, a najczęściej to pod gołem niebem, ale nawet do głowy mu nie przyjdzie, żeby przywołać śmierci.

— Na to będzie zawsze dość czasu — powiada.

Jeżeli widzi ją przechodzącą, to chowa się gdzie może, ale głupi Szwarc, po co on się chowa, kiedy śmierć widzi go doskonale i tylko kpi sobie z niego.

— Przeklinasz swoje życie człecze, ale nie śmiesz przywołać mnie do siebie! Rób jak ci się podoba, jeżeli wolisz cierpieć na ziemi, niż połączyć się ze mną w tak słodkim i cichym spokoju.

— Tak! tak! tak! — mówi Szwarc na boku — co mi tam pilnego. Jeszcze i setna część moich pragnień dotąd się nie spełniła.

I tak żyje coraz dłużej, w nędzy, w cierpieniu, ale w nadziei!...

Pokarm umysłu.

„Nie samym tylko chlebem człowiek żyje!“ Zdanie to dosyć często powtarzane, zasługuje na zastanawianie się nad niem jak najczęstsze.

Gdyby człowiek zdrów na umyśle, a zatem posiadający jakiekolwiek zdolności, pozostawionym został w takich warunkach, że miałby zaspokojone tylko potrzeby życia organicznego, tj. gdyby otrzymywał pokarmy najbardziej pożądane, także odzież, mieszkanie, możność swobodnego ruchu itd., to nie ulega żadnej wątpliwości, że po bardzo niedługim czasie żywot taki stałby się dlań nieznośnym.

Potrzeby człowieka nie ograniczają się jedynie na tem, czego samo ciało wymaga; ma on jeszcze bowiem potrzeby wyższe, ludzkiemu tylko rodowi właściwe potrzeby ducha, które, im silniej człowiek ma umysł rozbudzony, tem są obszerniejsze, okrąg ich rozleglejszy.

Jakiekolwiek stworzenie, chowane w domu zamożnym, np. pies, kot, kanarek itp., żyje w pełni życia, nic mu bowiem nie braknie; człowiek jednak w takich samych warunkach, nie będzie istniał w pełni życia; istnienie jego ograniczy się tylko do jednej połowy, fizycznej, gdy tymczasem druga, duchowa, niknąć będzie coraz bardziej, a po pewnym przeciągu czasu zniszczeje zupełnie.

Wiadomo powszechnie, że przy spotkaniu osób dawno niewidzianych, zwykliśmy pytać wzajemnie: „Co słychać?“ Pytanie takie możnaby nazwać frazesem bez znaczenia. A jednak zastanowienie baczniejsze wskazuje, iż jest to zadosyćuczynieniem potrzebie umysłowej.

Umysł tak samo potrzebuje pokarmu jak i ciało; myśl ludzka musi być czynną.

Jak jednostajne pokarmy, a zwłaszcza mało pożywne, nie będąc dostatecznie urozmaicone, sprawiają pewien niesmak, tak również jedne i te same zdania, mianowicie dykteryjki, żarty itp., często się powtarzające, obudzają w człowieku wstręt do osoby, a nawet całego towarzystwa, w którem ciągle są słyszane.

Towarzystwo mniejsze lub większe, niezasilane znikąd świeżym, zdrowym pokarmem umysłowym, dla odpędzenia nudów, pospolicie wpada w manję obgadywania drugich, narażające dobre imię, lub plotek czyli ogłaszania wiadomości, niemających żadnej rozumnej podstawy i niedających najmniejszej pożywności dla umysłu.

Pożałowania godnem jest istotnie położenie człowieka, zmuszonego pędzić życie takie i w takiej społeczności.

Ale pokarm duchowy nie tylko w osobistem obcowaniu z ludźmi znaleźć możemy. Wielką i dobroczynną jest sztuka nieśmiertelnego Gutenberga, dozwalająca przy skromnych nawet zasobach zaopatrywać się w pokarm umysłowy, jakim są książki. Lecz niestety, łatwość rozpowszechniania myśli ludzkiej była powodem wyjścia na świat mnóstwa i tego, co powinno było pierwej być zmienionem lub przerobionem, zanim dojdzie do rąk czytelników.

Czytanie przy zrobieniu odpowiedniego wyboru, dostarcza niemało strawy dla ducha, żywi umysł, podając nowe myśli, prostując błędne pojęcia.

Iluż to ludzi nie doświadczyło, że książka bardzo często jest najwierniejszym i jedynym przyjacielem.

Jakże jednak wiele zyskujemy na tem, gdy książka czytaną jest w gronie osób zaufanych, lub w kole rodzinnem, bo wtenczas wstyd fałszywy nie przeszkadza do przyznania się, że coś dla nas jest niezrozumiałem. Następuje więc wzajemna wymiana myśli, a wskutek tego łatwiejsze przyswojenie sobie przeczytanej rzeczy.

Pospolicie przedmiotem głośnego czytania są powieści, których ważności stanowiska w piśmiennictwie i kulturze niepodobna jest zaprzeczyć. Powieść dobra, dążnością więcej czasem wpłynie na podniesienie moralnej strony czytającego, aniżeli szczegółowe traktaty o samej moralności.

Obecnie powieści ze strony idealnej, w jakiej się dawniej trzymały, zstąpiły na ziemię, fotografują niejako życie rzeczywiste, położenia opisywanych wydarzeń są zrozumialsze, przedstawiają możność łatwiejszego porównania z własnemi dziejami życia czytającego.

Ograniczenie wszakże czytania na samej tylko powieści, jako zbyt jednostronne dla umysłu, zanadto rozbudzające wyobraźnię, nie może i nie powinno stanowić wyłącznego przedmiotu, zajęć umysłowych.

Pisma perjodyczne coraz bardziej się rozpowszechniające u nas, a zatem chętnie czytane, zdają się przedstawiać najwięcej rozmaitości przedmiotu podawanego czytelnikom. Nie mniej atoli korzystnie duch człowieka czerpać może swój pokarm zapomocą częstego przestawania w towarzystwie ludzi oddanych nauce; bardzo wiele faktów najdobitniej to potwierdza.

Zanadto wiele rozszerzyćby wypadło zakres niniejszego ustępu, gdybyśmy usiłowali wykazać tylko bezpośrednie korzyści, jakie umysł ludzki zdobywa, będąc zasilanym odpowiedniemi wiadomościami.

Najbardziej uderzające jest wyzwolenie się z przesądów i zabobonów tak wielce szkodliwych dla postępów cywilizacji, i z tego powodu potępianych zarówno z kazalnicy jak i przez naukę; są to choroby ducha ludzkiego, pozbawionego strawy umysłowej, plagi ciążące na ciemnych lub mało oświeconych ludziach lub narodach, a ustępujące dopiero w miarę rozwijającej się zdolności myślenia.

Streszczając wypowiedziane tu myśli, można wyrzec, że człowiek żyje życiem dwojakiem: fizycznem i duchowem. Pierwsze podtrzymywane jest jedynie środkami materjalnemi, nazywanemi chlebem powszednim — drugie zaś wymaga do swego utrzymania i rozwinięcia pokarmu umysłowego; jak zaniedbanie się w zasileniu ciała pokarmami materjalnemi, sprowadza zniszczenie tego ciała naszego, tak biada człowiekowi, który zapomina o tym drugim warunku życia, tj. nie stara się zasilać swego ducha odpowiedniemi pokarmami.

W takim bowiem razie żyje wprawdzie, ale tylko życiem zwierzęcem, czyli fizycznem.

Cierpienia głodu i pragnienia zmuszają do natychmiastowego zaspokojenia potrzeb ciała; niezaspokojenie potrzeb ducha nie daje się uczuć natychmiastowo, dlatego tembardziej czuwać nad sobą powinien każdy, kto chce godnie nosić nazwę człowieka.

KRONIKA.

Kraków 28 czerwca.

Kalendarz kościelny. Dziś, w niedzielę Leona, papieża, jutro Piotra i Pawła, apostołów, pojutrze Emilji i Lucyny, męczenniczek.

Jutro w kościele Najśw. Panny Marji kazanie o godzinie 10 wypowie ks. J. Nieć, sumę odprawi następnie ks. J. Krajewski.

W kościele św. Piotra i św. Łazarza na Wesołej jutro nabożeństwo uroczyste.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczął się dziś o godzinie 3 minut 35, zachód przypada o godzinie 7 minut 51, długość dnia godzin 16 minut 13.

Kupujcie tylko u chrześcijan!

Piotr Chmielowski, w przejeździe do Zakopanego bawi w Krakowie.

Włodzimierz Spasowicz, po dwudniowym pobycie w naszem mieście, gdzie odwiedził licznych przyjaciół i znajomych, wyjechał przez Czerniowce za granicę. Znakomity uczony spędzi kilka miesięcy we Włoszech, w okolicy Sieny, a z końcem sierpnia r. b. wróci do kraju. W Petersburgu będzie dopiero w drugiej połowie września.

Z Akademji Umiejętności. Posiedzenie zwyczajne wydziału filozoficznego odbędzie się we środę d. 1 lipca b. r. o godz. 6 wieczorem. Porządek sprawozdań: 1) Czł. Malinowski złoży pracę czł. A. Brücknera pt.: „Drobne zabytki języka polskiego z XV w. Pieśni. Modlitwy. Głosy“. 2) Czł. Tretjak poda treść pracy p. M. Zdziechowskiego pt.: „Bajron i jego wiek“. Cz. II: 1) „Bajronizm w Polsce“. 2) Bajronizm w Rosji“. 3) Czł. Malinowski złoży materjały dyalektyczne, zebrane w okolicach Krakowa przez p. Włodzimierza Tetmajera.

Następnie odbędzie się posiedzenie ściślejsze.

Habilitacja. Dr Leon Kryński, I asystent kliniki chirurgicznej, miał w ubiegły wtorek dnia 23 b. m. w południe wykład habilitacyjny: „O wskazaniach operacyjnych“ wobec grona profesorów wydziału lekarskiego. Po skończonym wykładzie wydział lekarski mianował dra Kryńskiego docentem chirurgji w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Patrjotnik wid „Zeitingu“. Na ostatniem przedstawieniu „Halki“, kiedy na scenie ukazał się Myszuga, jeden ze szrajbingełesów tutejszego *Zeitingu* zaczął sykać. Kiedy go zapytano, dlaczego to czyni, żydek odpowiedział: — „Ja to robie, bo on w Odesze szpiwał.“ — Wychodząc z tej zasady, musielibyśmy wszystkim naszym artystom zamknąć wstęp do Rosji, a Siemieradzkiego, który sprzedał swoją „Frynę“ carskiej galerji w Petersburgu, należałoby chyba ukamienować. Nie myślcie jednak, żeby ów szrajbingełes nie wiedział, że takie indywiduum chyba Polaków nie będzie uczyło patrjotyzmu. Ale on tak argumentował: — „Mój *Zeiting* nie idże, trzeba więc zrabiacz patrjotyczny hałas, a wtedy może będą kupowali moją gazetę“. — No i dosiadł konia patrjotycznego, tylko przez omyłkę znalazł się na nim twarzą do ogona.

Ciesz się, Krakowie! gdyż barometr, który wczoraj bardzo spadł, znów idzie w górę. Jest tedy uzasadniona nadzieja, że zlot sokoli odbędzie się przy pięknej pogodzie, a deszcz wczorajszy tylko przyjemnie odświeżył powietrze.

Zlot Sokołów. Wczoraj, od wczesnego ranka, wszystkiemi pociągami od wschodu i zachodu przybywali do Krakowa druhy po kilkunastu lub kilkudziesięciu. Do szóstej godziny Kraków powitał do 400 druhów, którymi zajęła się komisja kwaterunkowa. Od godz. 6-tej tłumy publiczności oczekiwały na pociąg nadzwyczajny, dążący ze Lwowa. Punktualnie o 6-tej minut 40, pociąg, składający się z 19 wagonów, przepełnionych miłymi gośćmi, stanął pod werandą dworca kolei północnej. Do tysiąca druhów i pań wysiadło z wagonów. Na dworcu oczekiwał na przyjezdnych silny pluton krakowskiego „Sokoła“, z prezesem i całym wydziałem na czele, oraz liczni delegaci gniazd pozamiejscowych, pod przewodnictwem prezesa Związku, p. Tadeusza Romanowicza. Przybyłych witano głośnem „Czołem!“. Przemówień nie było żadnych. W tej chwili po wyjściu z wagonów komisja kwaterunkowa zaopiekowała się gośćmi. Rozwózką rzeczy zajęli się włościanie, *ad hoc* przybyli na dworzec z podwodami.

W Rabce bawi obecnie, według wydanej I listy gości, 119 rodzin, 409 osób.

Ze Szczawnicy. Pierwsza lista gości kąpielowych przybyłych do Szczawnicy 18 m. b. m., wykazuje 381 osób.

Demonstracje studenckie. Dzienniki wiedeńskie donoszą, że serbscy i kroaccy studenci Uniwersytetu wiedeńskiego urządzili wczoraj demonstrację profesorowi Jagiczowi, ponieważ Jagicz podczas obrad delegacyjnych uznał za uprawnione, używane przez ministra Kallaya wyrażenie: „język bośniacki“. — Po ukończeniu wykładu podążyli studenci za profesorem, podnosząc okrzyki: „Pereat!“ i towarzyszyli mu wśród nieustannych krzyków i hałasów aż do tramwaju. Studenci otoczyli tramwaj, a krzyki ustały dopiero wtedy, gdy tramwaj ruszył z miejsca.

Skarb do odebrania. Pismo londyńskie *Pall Mall Magazine* ogłasza notatkę o skarbie, czekającym na właściciela od stu lat przeszło nad Tamizą.

Wieczorem dnia 10-go stycznia 1791 roku pani du Barry wyjechała z francuskiego zamku Louveciennes z wizytą do księcia Brissac. W czasie jej nieobecności złodzieje zakradli się do sypialni i zabrali szkatułkę z klejnotami. Kamerdyner b. kochanki Ludwika XV-go nic nie słyszał, żołnierz zaś gwardji szwajcarskiej, stojący tego wieczora na straży, spił się jak bela. Wskazówki tedy co do złoczyńców były bardzo nieokreślone. Spis przedmiotów skradzionych, zwany „spisem inwentarza Golkondy“, znajduje się w archiwach departamentu Sekwany. Jest to prawdziwy skarb z „Tysiąca i jednej nocy“, tyle w nim brylantów, rubinów, szmaragdów, pereł. Francja nie chciała wierzyć, że kradzieży dokonano naprawdę. Dzienniki rewolucyjne jednomyślnie twierdziły, iż była faworyta „nowożytnego Sardanapala“ zmistyfikowała opinję publiczną, aby znaleźć pretekst „do prowadzenia korespondencji i utrzymywania zażyłych stosunków z emigrantami i innymi wrogami wolności i równości“.

Tymczasem artykuł, zamieszczony w dniu 28-mym lutego 1791 r. w *Public Advertiser*, usuwał odrazu wszelkie wątpliwości. Kradzież w zamku Louveciennes nie była wcale fikcyjną, skoro policja angielska pochwyciła sprawców kradzieży. Złodzieje udali się wprost z Louveciennes do Londynu i rozgościli się w jednej z oberży w City. Nazajutrz po przyjeździe zwrócili się do jubilera Simona i zaproponowali kupno znacznej ilości drogich kamieni za cenę, przedstawiającą zaledwie szesnastą część istotnej wartości klejnotów. Jubiler kupił, co mu pokazano, za 1,500 funtów szterlingów, a gdy sprzedający oświadczyli, że nazajutrz przyniosą drugie tyle, dał znać policji. Na mocy rozkazu lorda-majora dokonano w mieszkaniu złodziejów rewizji i odebrano prawie wszystkie klejnoty.

Tu zaczyna się komedja administracyjno-sądowa. Zawiadomiona o aresztowaniu złodziejów pani du Barry udała się natychmiast do Londynu, powołała się na świadectwo jubilerów paryskich, którzy często

zmieniali oprawę klejnotów i dowiodła, iż odebrane złodziejom kosztowności są jej niezaprzeczoną własnością. Tymczasem złodzieje zaprzeczali wszystkiemu uparcie, tak, iż lord-major uznał poszlaki, ciążące na złoczyńcach, za niedostateczne, szkatułkę zaś z klejnotami polecił złożyć do depozytu bankierów londyńskich Ransona, Morlandu i Sp.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, iż sądy angielskie grały z panią du Barry w ciuciubabkę. Oto poszkodowana ogłosiła poprzednio, iż za wskazanie złodziejów wypłaci nagrodę w sumie 2000 luidorów. Simon jubiler, któremu złodzieje starali się sprzedać klejnoty, powołując się na to, iż wskazał lordowi-majorowi Londynu złoczyńców, pragnących spieniężyć połowę łupu, zażądał od pani du Barry wypłacenia połowy nagrody, a gdy poszkodowana odmówiła, tłómacząc się, iż skradzionych przedmiotów dotychczas nie odebrała, wytoczył sprawę sądową. Ten sam lord-major, który sporne klejnoty polecił złożyć do depozytu bankierów londyńskich, wydał teraz wyrok, przysądzający jubilerowi Simonowi połowę obiecanego wynagrodzenia. Jedno z dwojga: albo klejnoty będą sporne, a wówczas wskazówki Simona poszkodowanej nie obowiązywały, albo też wynagrodzenie należało się Simonowi, a wówczas klejnoty należało zwrócić prawej właścicielce. Tymczasem komedja sądowo-administracyjna władz angielskich naraziła panią du Barry na stratę podwójną: klejnotów nie odebrała, sumę zaś przysądzoną jubilerowi musiała zapłacić.

Kilkakrotnie b. faworyta Ludwika XV-go jeździła do Londynu, ale napróżno. Przyszła rewolucja, czasy gorące, pani du Barry zeszła z tego świata, klejnoty zaś wciąż leżały w depozycie londyńskim. Faktem jest, iż skarb ten gdzieś dotychczas istnieje, gdzie ednak — niewiadomo.

W Japonji nie ma wcale starych panien ani starych kawalerów. Małżeństwo jest niejako obowiązkowem i pozbawionem romantycznego pierwiastku. Gdy dane osobniki płci obojej dochodzą do wieku stosownego, rodziny ich rozporządzają się ich losami i kojarzą ze sobą młode pary. Rozwody nie są też rzadkością, zdarzają się jednak częściej wśród klas zamożnych, niż ubogich. Każda młoda para ma swego opiekuna, wybranego zwykle wśród rodziny; obowiązkiem jego obznajamiać pana młodego z interesami; w razie nieporozumień małżeńskich być rozjemcą, a jeśli waśnie się zaostrzą, dopomódz do rozwodu i wynaleźć kadżej ze „stron“ odpowiedniejszego „partnera“ życiowego. Miłość dwojga płci do siebie nie odgrywa roli ani w życiu, ani w literaturze japońskiej, gdzie opiewane są głównie uczucia rodzicielskie. Nie dziw więc, że czas „gruchania“ Japończykom nieznany; skoro tylko rodziny porozumieją się co do warunków matrymonjalnych, wybrani dla siebie młodzi ludzie stają się małżonkami. Żona musi być posłuszną we wszystkiem mężowi aż do śmierci, albo — do rozwodu.

Poświęcenie gmachu i sali Sokoła krakowskiego odbyło się wczoraj wobec prezydenta miasta p. Friedleina, prezesa Sokoła dra Stycznia, całego wydziału i osób zaproszonych. Aktu poświęcenia dopełnił ks. kan. dr. Spis, profesor uniwersytetu i radca miejski w asystencji ks. Rottermanna. Po ceremonji ks dr. Spis wyraził, iż z radością poświęcił ten gmach, który jest dowodem, żeśmy nie na wymarciu, ale przeciwnie powołani do życia i siły. Idea sokolska krzewi w narodzie ducha, czego dowodzą słowa umieszczone wewnątrz i zewnątrz gmachu. Dr Styczeń imieniem całego Sokolstwa podziękował czcigodnemu ks. kanonikowi za słowa serdeczne i zaznaczył, że do poświęcenia uproszono uczonego kapłana, aby przez to zaznaczyć iż w tym gmachu obok siły wzrasta i duch, tak potrzebny dla naszego narodu. Do uświetnienia chwili przyczynił się chór mieszany, który bardzo ładnie odśpiewał „Boże Ojcze Twoje dzieci“ i „Pieśń Legionów Dąbrowskiego“. Odtąd Sokół krakowski stał się instytucją czysto-chrześcjańską, jaką zresztą był od dłuższego już czasu.

Egzamin uczennic kursu handlowego w tutejszej szkole wydziałowej żeńskiej odbył się w dniu 24 bm. w obecności delegatów władz szkolnych, Rady miasta, Izby handlowej, kongregacji kupieckiej i dyrektora Banku gal. dla handlu i przemysłu. Egzamin złożyły: Ameisenówna Amalja, Bobrówna Jadwiga (z odzn.), Besterówna Salomea, Blatteisówna Zofja (z odzn.), Burnatowiczówna Wilhelmina, Górnisiewiczówna Wanda (z odzn.), Goldwasserówna Stefanja, Glasscheibówna Franciszka, Herzogówna Eleonora, Kącka Karolina, Kocołówna Katarzyna, Kłodzińska Michalina, Kuryczówna Franc. (z odzn.), Meusówna Helena, Mackiewiczówna Marja, Pindelska Stanisława, Policzkiewiczówna Zofja, Sińska Helena, Snopkiewiczówna Marja, Smolnicka Janina, Weinberg Regina, Wojtyżanka Janina.

Wystawa. Jednoroczny kurs robót, utworzony został przez ministerjum przy tut. szkole wydziałowej i ma na celu specjalne wykształcenie nauczycielek w robotach i rysunkach. We wszystkich szkołach dawał się dotąd czuć brak metodycznego przeprowadzenia nauki robót, dlatego kurs taki był niezbędnie potrzebny. Niemożemy się wstrzymać, by nie wyrazić szczerego uznania p. A. Gettlichowi, dyrektorowi szkoły wydz., który dołożył wszelkich starań, by projekt założenia kursu przyszedł do skutku. Kandydatki, któremi były po większej części nauczycielki z egzaminem ludowym i wydziałowym, opuściły swoje posady i przechodziły systematycznie metodę prowadzenia nauki robót poszczególnie w każdej klasie, począwszy od I ludowej, a skończywszy na IV wydziałowej i wykonywały wszystkie wzorniki i roboty planem szkolnym objęte. Każda nauczycielka robót będzie udzielała rysunków geometrycznych i ściśle do nauki robót zastosowanych, których liczne wzory zapełniają ściany sali. W pierwszem półroczu uczono ręcznego szycia bielizny, nauki kroju, oraz robót szydełkowych i drutowych. Drugie półrocze obejmowało naukę szycia maszynowego i robót ozdobnych.

O pilności i wytrwałości uczennic, a umiejętności nauczycielek, świadczą na wystawie piękne roboty, odznaczające się nader starannem wykończeniem. Z pomiędzy tych wyróżniają się prace: w hafcie i rysunkach panny Zofji Henochówny, w bieliźnie i rysunkach p. Izy Richterowej, oraz roboty panien Witekówny, Spargnapani, Turkówny, Furmankiewicz, Jarockiej i innych. Na kursie tym uczyła z wielką sumiennością i poświęceniem pani Marja Mayerberg, znana z pięknych robót na Wystawie lwowskiej, pod której głównem kierownictwem kurs pozostawał. Zajmowała się ona nauką szycia ręcznego, maszynowego, oraz metody tegoż; również haftu białego, kolorowego i rysunków kompozycyjnych w kierunku do robót ręcznych. Pani Marja Buczkowska uczyła także robót drutowych i szydełkowych, wiązanych, siatkowych, haftu perskiego, oraz ich metody. Panna Władysława Mühln udzielała nauki kroju bielizny, systematycznego przeprowadzenia rysunków, kroju bielizny dziecinnej, damskiej, męskiej i kościelnej. Pan Teodor Trnka, prof. szkoły wydziałowej, uczył rysunków geometrycznych, metodycznych, oraz wolnoręcznych z wzorów. Wystawa tych robót została otwartą w piątek, dnia 26 b. m. i trwać będzie tylko do 29 bm. Sądzimy więc, że publiczność licznie się przez te dnie będzie zgromadzała w szkole robót, przy tutejszej szkole wydz. (wejście od ulicy św. Krzyża), zwłaszcza, że widok nagromadzonych tam przedmiotów sprawi jej rzetelną przyjemność.

Uroczystość „Wianków“ odbędzie się pod egidą „Sokoła“ krakowskiego dnia 30 b. m. po regatach. Program zapowiada: 1) Puszczanie wianków prywatnych. 2) Puszczanie wianków świetlanych. 3) Ognie sztuczne wodne. 4) Chór z muzyką na okręcie dekorowanym. 5) 20 łodzi dekorowanych i oświetlonych. 6) Ognie sztuczne na brzegu. 7) Sobótki i oświetlenie brzegów Wisły. 8) Oświetlenie Wawelu. 9) Zakończenie i powrót przy ogniu bengalskim. Przez cały czas uroczystości dwie muzyki będą grały naprzemian.

Bilety na wyścigi wodne i Wianki nabywać można w księgarni Wgo Krzyżanowskiego, Józefa Rudnickiego i w handlu A. Schulza, oraz przy wejściach nad brzegiem Wisły. Ceny: Krzesło numerowane 1 złr., miejsce siedzące numerowane na ławkach 60 ct., miejsce stojące po 20 i 10 ct. Szczegółowe programy sprzedaje się po 10 ct. Dochód przeznaczony na opędzenie kosztów.

Wyścig drogowy stukilometrowy, urządzony staraniem krakowskiego oddziału kolarzy w „Sokole“, zakończył się zwycięstwem p. Zdzisława Ritterschilda. Drugim był p. Seweryn Komoniewski.

Znaczną kradzież numizmatów spełnili wczorajszej nocy niewiadomi złodzieje w mieszkaniu pana Umińskiego przy ulicy Kolejowej.

Policja przyaresztowała wczorajszej nocy Katarzynę Faroń, praczkę, za kradzież siana na Plantach.

Dla dobra robotników. Ministerstwo handlu poleciło w obszernem rozporządzeniu wszystkim austrjackim namiestnikom i prezydentom krajowym zebrać w porozumieniu z Izbami handlowemi, przemysłowemi, rękodzielniczemi i z koporacjami przemysłowemi dane statystyczne co do instytucyj, pośredniczących w dostarczaniu pracy. Dane te mają być dostarczone ministerstwu do 30 września b. r., a dochodzenia podobne mają być powtórzone jeszcze raz w r. 1897. Ministerstwo nie tai, że zagranicą w niektórych państwach istnieją instytucje, pewniej, szybciej i z mniejszemi kosztami uwiadamiające robotników o tem, gdzie mogą znaleźć pracę. To też rozporządzenie zawiera opisanie ustroju pośrednictwa w pracy w państwie niemieckiem i cztery kwestjonarjusze. Pierwszy z nich odnosi się do stosunków i ilości biur wywiadowczych dla robotników, drugi do działalności stowarzyszeń przemysłowych w pośrednictwie pracy, trzeci do działalności w tym kierunku stowarzyszeń robotniczych, a czwarty do działalności wszelkich innych ciał czy instytucyj. Oprócz tego wezwało ministerstwo namiestnictwa, aby żądane wykazy statystyczne poprzedziły sprawozdaniem, jakie w danym kraju rezultaty praktyczne osiągano i jakie doświadczenia poczyniono z pośrednictwem w pracy robotniczej. Rozporządzenie powyższe jest tedy wstępem do akcji, której celem pomyślne rozwiązanie jednego z zadań polityki socjalnej. Akcja ta zapowiada się cokolwiek rozwlekle, ale za to rezultat będzie tem gruntowniejszy i wszechstronniejszy.

Założenie szkoły wojskowej we Lwowie. W uchwalonym świeżo przez Delegacje preliminarzu wydatków zwyczajnych budżetu ministerstwa wojny na rok 1897 znajduje się pozycja 73.704 złr. na założenie dwu nowych (piętnastej i szesnastej) szkół kadeckich dla piechoty, a to w celu pozyskania sił dla pomnożonej obecnie liczby oficerów stanu czynnego. Prywatnie dowiaduje się urzędowa *Gazeta lwowska*, że jedna z tych dwu nowych szkół stanie we Lwowie, a to nie dopiero w roku przyszłym, lecz przynajmniej w części, już w roku bieżącym. We wrześniu roku bieżącego będzie tedy otworzona dla kandydatów klasa pierwsza, a w jesieni roku przyszłego szkoła uzupełniona będzie kursami wyższemi.

Pielgrzymka do Częstochowy, na św. Annę dnia 23 lipca, wybiera się z Galicji, ktoby sobie życzył wziąć udział w tej pielgrzymce; powinien się postarać o pasport awizowany przez konsula rosyjskiego, bo karty legitymacyjne są nieważne.

Ze Stanisławowa piszą: Na sobotniem posiedzeniu wydziału „Koła mieszczan“ podniesiono myśl, która istotnie zbawczo wpłynąć może na stosunki miejskie. Oto, wobec zbliżającej się zmiany ordynacji wyborczej, postanowiono wybrać komitet, który zwoławszy zgromadzenie wszystkich wyborców chrześcijańskich, w porozumieniu się z 30 miastami, wniósłby w ich imieniu petycję do Sejmu, by urzędnicy podług nowej ustawy wyborczej włączeni zostali do klasy drugiej. Wskutek tak przeprowadzonej ordynacji wyborczej, chrześcijańscy wyborcy wzięliby górę w miastach, zwłaszcza u nas i reprezentowani byliby przez własnych radnych, a nie przez serwilistów, narzuconych ze strony żydów.

Na zlocie sokolim w Krakowie, Stanisławów jak dziś już można stwierdzić, dosyć licznie będzie reprezentowany. Wyjeżdża druhów ćwiczących się pod naczelnikiem Świątkiewiczem i prezesem Baronowiczem 40, umundurowanych 60, jakkolwiek bardzo być może, że w ostatniej jeszcze chwili pojedzie ich więcej.

Zawsze oni. Dnia 21 b. m. żandarm Kollman znalazł przy drodze ze Zarubiniec, do Skałatu ukrytego w życie trupa Izaka Fella, handlarza ze Zarubiniec, który w czwartek 18 b. m. znikł bez śladu. Komisja sądowo-lekarska, która się odbyła w poniedziałek, mogła mieć więcej trudności w złożeniu części ciała, aniżeli w sekcjonowaniu, gdyż trup był literalnie pokawałkowany. Aresztowano podejrzanych o zbrodnię Abę Lenczyca, arendarza ze Zarubiniec i jego dwóch synów, którzy dokonać mieli zbrodni z przyczyn następujących: Zamordowany założył przed niedawnym czasem sklepik z wiktuałami i pokryjomu sprzedawał wódkę naprzeciw karczmy w Zarubieńcach, przez Lenczyców arendowanej. Ci, chcąc się uwolnić od niewygodnej im konkurencji, zasiedli się na niego w czwartek 18 b. m. i powracającego z towarem ze Skałatu zbili na tak zwane „kwaśne jabłko“, iż trudno było rozpoznać, co ta masa ciała przedstawia. To się nazywa u żydów „walka o byt“.

Program Zjazdu i zwyczajnego walnego zgromadzenia Towarzystwa „Szkoły ludowej“, które się odbędzie w Przemyślu, w dniach 4 i 5 lipca b. r. zapowiada w dniu pierwszym: I. O godzinie 9½ rano nabożeństwo w kościele katedralnym rzymsko-katolickiego obrządku. II. O godzinie 10½ przed południem w sali obrad Rady miejskiej pierwsze posiedzenie walnego zgromadzenia z następującym porządkiem dziennym: a) Powitanie przez prezydenta miasta; b) zagajenie zgromadzenia przez prezesa Towarzystwa; c) sprawdzenie legitymacji uczestników walnego zgromadzenia; d) powołanie weryfikatorów i skrutatorów; e) sprawozdanie zarządu głównego za czas od d. 1 sierpnia 1895 do 15 czerwca 1896 r.; f) sprawozdanie Rady nadzorczej i wniosek o absolutorjum; g) wniosek zarządu głównego o zmianę regulaminu; h) wnioski Kół i wnioski uczestników zgromadzenia; i) wybór komisji: 1. Dla sprawozdań zarządu głównego i Rady nadzorczej; 2) dla zmian regulaminu; 3) dla wniosków Kół i uczestników walnego zgromadzenia. III O godzinie 4 po południu posiedzenia komisyj. Drugiego dnia porządek dzienny opiewa: I. O godzinie 10 przed południem w sali obrad Rady miejskiej drugie posiedzenie walnego zgromadzenia z następującym porządkiem dziennym: a) wnioski komisji dla sprawozdań zarządu głównego i Rady nadzorczej; b) wnioski komisji dla zmian regulaminu; c) sprawozdanie komisji o wnioskach Kół i uczestników zgromadzenia walnego; d) wybór 24 członków zarządu głównego; e) wybór 5 członków Rady nadzorczej; f) wybór 5 członków sądu rozjemczego; g) życzenia Kół i uczestników walnego zgromadzenia co do miejsca następnego walnego zgromadzenia; h) zakończenie zgromadzenia przez prezesa Towarzystwa.

Egzamin dojrzałości w gimnazjum w Jaśle, odbył się dnia 15—22 b. m. Za dojrzałych uznani: Augustyn Leopold, Benben Konstanty, Chylak Michał, Chylak Teodor, Dziekoński Antoni, Górnicki Marjan (z odzn.), Kaczkowski Bronisław, Kossowicz Jędrzej,

Kocyłowski Józef, Kopyta Aleksander, Kornecki Władysław, Kozak Stanisław (z odzn.), Krajewski Wojciech, Kudełka Zygmunt, Kwiatkowski Stanisław, Okoński Stanisław, Postępski Stanisław, Reis Stanisław, Schildenfeld Gwido, Sobin Dymitr, Szajna Stanisław, Szurek Jan, Wilk Jan, Wiśniowski Józef, Kosiewicz Eugenjusz i eksterniści: Borowiec Józef, Chylak Włodzimierz, Kusajła Teodor, Smolarski Kazimierz, Kochański Zygmunt (z odzn.), Tułecki Józef, Wojdyła Wojciech. Jednego publicznego ucznia reprobowano na rok, pięciu pozwolono poprawić egzamin po ferjach. Z eksternistów reprobowano dwóch na rok, a trzech przeznaczono do poprawczego egzaminu.

Z Nowego Sącza piszą do nas: W Nowym Sączu nie żyjemy i nie oddychamy swojskiem powietrzem! Proszę się tylko przejść ulicami naszego miasta, a dosyć się zobaczy rozmaitych napisów i szyldów w języku niemieckim lub żydowskim. (Stampilja propinacji miejskiej brzmi: Städtische Propinations-Verwaltung in Neu-Sandez). Doprawdy, że zdumienie ogarnia każdego Polaka na takie lekceważenie języka narodowego, którego przecież pozwala konstytucja używać nawet w sprawach urzędowych, nie mówiąc już o napisach i szyldach. A szyldów niepolskich, takich kwiatków na ulicach sądeckich pełno znajdziemy. I wśród tej dusznej, bo obcej nam atmosfery żyć musimy, — musimy oddychać wonią takich kwiatków, wonią, która jest nam więcej niż wstrętną; tą wonią, powiadam, napawa się młode pokolenie polskie na swej polskiej ziemi! Czyż wobec tego święty magistrat miasta jest bezradny i bezsilny — czy też może brak mu dobrej woli?...

Nowa Rada miejska jeszcze nieukonstytuowana... A jakiż to skład będzie tej nowej Rady? Oto będzie w niej zasiadać radnych katolików 21, radnych żydów 10, a radnych wyznania ewangielickiego 5 (na 300 protestantów, w N. Sączu mieszkających), więc po składzie takiej Rady niczego dobrego spodziewać się nie można. Żywioł niemiecki i żydowski przy swoim dobrobycie materjalnym a wskutek tego i przy swym wpływie prywatnym, będzie przeważał także w obradach miejskich, a zatem i fizjognomja polskiego miasta pozostanie nadal niemiecka i żydowska. Oj źle, źle!

Sejmiki relacyjne. Poseł do Rady państwa, ks. Leon Pastor, w dalszym ciągu zdawać będzie sprawozdanie z czynności poselskich w Lubaczowie 2-go lipca, w Cieszanowie zaś 3 lipca, wszędzie o 11 przed południem.

Z Mszany dolnej piszą do nas: Dnia 25 b. m. odbył się w tutejszej szkole roczny popis dziatwy, poprzedzony uroczystem nabożeństwem. Odprawił je nowoprzybyły katecheta ks. Marcin Zaczek. Popisowi przewodniczył radca sądowy Ursla. Dziatwa spisywała się dzielnie i roztropnie. Zasługa to niewątpliwie grona nauczycielskiego i kierownika p. Skumiela.

We środę zdarzył się tu wypadek, który wstrząsające sprawił wrażenie w całej okolicy. Oto pędząca z Tymbarku drezyna wpadła na stojącego na torze chłopaka wiejskiego i na miejscu go zabiła, odciąwszy kołami głowę dziecku. Kto w tym wypadku zawinił, śledztwo sądowe w niedalekiej przyszłości wykaże.

Z Bolechowa piszą: Rozjuszenie kramarzy żydowskich, którym chrześcijanin odważył się u nas „wleźć w kapustę“, przybierać poczyna objawy, wobec których wątpićby prawie można, czy żyjemy w państwie, gwarantującem swym obywatelom konstytucyjną swobodę. W Bolechowie powstał z wiosną sklep chrześcijański p. Jurkiewicza, któremu istotnie należy się uznanie za to, że miał odwagę stanąć do walki z rozwielmożnionem tu kramarstwem żydowskiem. Że istotnie trzeba było na to odwagi, pokazało się bardzo rychło. Zagrożeni w swej egzystencji kramarze, którzy ani jakością towarów, ani ceną nie mogą konkurować z p. Jurkiewiczem, wytężyli wszelkie siły, aby go podkopać. Jakich to nie używano pogróżek, jakich nie szerzono pogłosek, by zachwiać zaufanie do chrześcijańskiego sklepu. Doszło do tego, iż p. Jurkiewicz otwartym listem zaprzeczać musiał, jakoby handel zwinąć zamyślał, co też istotnie ani mu się śniło.

Lecz i to jeszcze mniejsza. Przed kilku dniami zgotowano formalny zamach na sklep p. Jurkiewicza. Dla wyjaśnienia dodać należy, iż nabył go on od tut. Towarzystwa handlowego, nie przyjmując na siebie ciężarów towarzystwa. Owoż pewnego pięknego poranku wpada do sklepu jeden z chałatowych konkurentów z asystencją sądową, oświadczając, że ma przeprowadzić egzekucję na pokrycie pretensji, jakie ma pewna firma niemiecka do Tow. handlowego. Wszelkie protesty nie trafiły mu do przekonania, a nawet interwencja wezwanych członków Towarz. handlowego, którzy złożyli dłużną kwotę, nic nie pomogła, szło bowiem naturalnie o zniszczenie sklepu, a nie o zaskarżoną sumkę. Zabierano już towary, gdy zjawiła się wreszcie odsiecz w osobie wezwanego kancelisty sądowego i dopiero też wtedy, po czterogodzinnem rujnowaniu, sklep oczyszczono z najazdu. Wśród całej tej sceny tłumy chałatowców oblegały sklep, wnosząc co chwila tryumfalne okrzyki: *Der goj bankrottirt!* i szerząc po mieście najpotworniejsze o tem rzekomem bankructwie informacje.

Nie na różach zaprawdę spoczywają ci, co odważają się bruździć chałatowym wyzyskiwaczom. Gdyby przynajmniej publiczność chrześcijańska chciała zrozumieć, że może obejść się bez tumaniących ją żydów i że powinna popierać „swojego“ tak, jak żydzi popierają „swoich“.

Z Chrzanowa piszą do nas: Dnia 25 lipca w tutejszej szkole pięcioklasowej zakończył się rok szkolny bardzo uroczyście. Po solennem nabożeństwie w kościele katolickim, w obecności ks. proboszcza miejscowego, pp. starosty, inspektora szkolnego, przewodniczącego Rady szk. miejsc., burmistrza, oraz przy udziale licznie zebranych rodziców i publiczności, odbyły się popisy dziatwy z religji, deklamacji i śpiewu, które wypadły ku ogólnemu zadowoleniu obecnych. Szczególnie rodziców cieszyły dokładne i ze zrozumieniem rzeczy, dawane odpowiedzi przez dziatwę na zapytywania ks. katechety z religji. Do deklamacji były trafnie dobrane prócz wierszyków Jachowicza dłuższe utwory Morawskiego, ks. Antoniewicza, W. Pola (wyjątki z „Pieśni o Ziemi naszej“), zaś uczniowie V klasy oddeklamowali nad podziw udatnie księgę VII. z „Pana Tadeusza“ (Narada). Wypracowania pisemne i rysunkowe prezentowały się również dodatnio, odznaczając się szczególnie troskliwą starannością w wykonywaniu i czystością. Rysunki uczniów klasy V, wykonane farbami, okazały u niektórych wybitny talent do rysunków. Z tego wszystkiego, cośmy słyszeli i widzieli, można było powziąć ogólne wyobrażenie, że tak kierownik szkoły, jakoteż nauczycielki i nauczyciele szczerze pracowali nad kształceniem umysłu i serca powierzonej sobie młodzieży, to też żal nam było prawdziwie usłyszeć na ostatku pożegnalną mowę, wystosowaną do uczniów przez dyrektora p. Czupkę. Przez 21 lat kierownictwa w tut szkole zawsze do swych uczniów powtarzał: „Módl się i pracuj!“, gdyż tylko modlitwa i praca uszczęśliwia człowieka, czyniąc go sobie i bliźnim pożytecznym, a teraz to samo ostatni raz z tego miejsca do nich powiedział, ponieważ kierownictwo tut. szkoły już opuszcza, udając się po wakacjach na inną posadę. Czy też tutejsza szkoła na takiej zmianie nie straci? *A. D.*

Z Łazan pod Wieliczką donoszą nam, że przy licznym udziale włościan i dziatwy szkolnej odbyło się tamże dnia 25 czerwca b. r. uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę szkoły ludowej.

Znowu wielki szmat ziemi polskiej w Poznańskiem przeszedł w ręce niemieckie. Dobra Ludom-Dąbrówka w powiecie obornickim, mające 1433 hektarów obszaru, w tem 540 hekt. lasu, własność p. Wiktora Zabłockiego, nabył na subhaście osławiony „Landbank“ hakatystyczny, który poprzednio kupił już od banku Wolffa hipotekę, ciążącą na tych dobrach, w wysokości 112 tysięcy marek. „Landbank“ kupił Ludom Dąbrówkę za stosunkowo niską cenę 670 tysięcy marek. Z Polaków licytował tylko pan Feliks Taczanowski. Przejście Ludom-Dąbrówki w ręce hakatystów jest tem boleśniejsze, że tam dokonał żywota swego niezapomniany nigdy dobroczyńca naszego społeczeństwa dr Karol Marcinkowski i tam też znajduje się jego pomnik.

Odtatuowywanie. W Paryżu dr Variot wynalazł sposób wywabiania tatuowania ze skóry za pomocą tynktury garbnika i azotanu srebra. Będą go stosowali w więzieniach, jako środek umoralniający, bo młodzi zbrodniarze tatuują się bardzo często i nieraz mają na czole i rękach obrazy bezwstydne lub napisy, co, oczywiście, utrudnia dostanie pracy po uwolnieniu i wejściu na lepszą drogę.

Dziewiąty morderca. W Paryżu aresztowano już dziewiątego uczestnika zamordowania „baronowej“ Valley. Jest nim Raul Durand, elegancki młodzieniec, który bywał używany za tajnego ajenta przez policję i świeżo wydał głównego autora napadu Lagenue

Wyprawa północna. Porucznik Peary, arktyczny eksplorator, przybył do St. Johns i wynajął parowiec, który ma zawieść go do Baeoden Bay, w Grenlandji. Celem podróżnika jest dopełnienie studjów etnograficznych nad wysuniętemi najbardziej ku północy krajami Eskimosów, tudzież przywiezienie z Cape Yorku meteorytu, ważącego 50 ton, który Peary znalazł podczas ostatniej swojej wyprawy. Jest to największy ze znanych meteorytów. Porucznikowi Peary towarzyszą dwie wyprawy naukowe, mające czynić geologiczne badania. Parowiec „Hope“ wyruszy z Sydney, Cape Breton, w dniu 8-ym lipca. Peary zamierza powrócić w październiku.

Jubileusz Gutenberga. Municypalność Moguncji zamierza obchodzić uroczyście pięćsetną rocznicę urodzin Gutenberga. Dokładnych danych o roku urodzenia wynalazcy druku nie ma, to tylko pewna, że urodził się w końcu XIV. wieku. Wobec tego powstała myśl obchodzenia jubileuszowego w r. 1900.

Przesąd archeologiczny. Badacze archeologji przedhistorycznej, zajmujący się epokami: kamienną, bronzową i żelazną, głoszą powszechnie, że postęp od epoki niemetalicznej do metalicznej jest połączony z postępem duchowym i cywilizacyjnym. Tymczasem fakty osłabiają siłę tego twierdzenia. Murzyni ludożercy bardzo dobrze umieją obrabiać żelazo, a jednak w cywilizacji stoją nadzwyczaj nizko. Za to plemiona meksykańskie i peruwiańskie, aczkolwiek wcale żelaza nie znały, potrafiły stawiać budowy, zdobione takiemi rzeźbami, iż budziły podziw w zdobywcach europejskich.

Konkursy. Wydział powiatowy w Nadwórnie rozpisuje konkurs na posadę lekarza okręg. z siedzibą w Mikulczynie z roczną płacą 600 złr. i 400 złr. na koszty podróży. Termin do 31 lipca b. r.

Magistrat m. Kołomyi ogłasza konkurs na posadę sekundarjusza w szpitalu powszechnym miejskim. Płaca roczna 400 złr. Termin do 1 września b. r.

Sąd pow. w Muszynie przyjmie zaraz djetarjusza obznajomionego dokładnie z manipulacją sądową. Płaca 25 złr. na miesiąc.

(*Gazeta lwowska* nr. 146).

W spisie abiturjentów, którzy złożyli egzamin dojrzałości w gimnazjum tarnowskiem, opuszczono nazwiska pp. Stanisława Warchałowskiego i Stanisława Uranka. — W takimże spisie z Nowego Sącza niepotrzebnie dodano przy nazwisku St. Hubicki „z odznaczeniem“.

Do odebrania W tutejszej dyrekcji policji złożono ostatniemi czasy następujące przedmioty znalezione: zegarek srebrny z łańcuszkiem, trzy kluczyki, notes, bransoletka z żółtego metalu, papierośnica, świadectwa szkolne Władysława i Franciszka Wentzlów, książka do nabożeństwa, krzyżyk złoty, pierścień z zielonem oczkiem, książkę do czytania, teka czarna z dwoma książeczkami pocztowej kasy oszczędności, bransoletka wysadzana turkusami, pugilares z małą kwotą, trzy kluczyki na kółku, książka do nabożeństwa, parasolka, dwa parasole i pelerynka damska, woreczek z małą kwotą, kilka pojedynczych kluczy, zegarek damski niklowy, pugilares z drobną kwotą, mantylka czarna, pierścień złoty i pugilares.

Rada miejska w dawnym Krakowie.

Po wyborach do krakowskiej Rady miejskiej nie od rzeczy będzie przypomnieć pokrótce początki władzy miejskiej w Krakowie. Lubo Kraków już od X wieku był najgłówniejszem i najzacniejszem miastem tej części słowiańszczyzny, wszelako epoka wyższego wzrostu i zakwitnięcia jego poczyna się dopiero od daty przywileju Bolesława Wstydliwego z 5 czerwca 1257 roku, którym obdarzył je prawem niemieckiem, czyli samorządem. Z prawa tego wynikał dla mieszczan na niem lokowanych wolny wybór zwierzchności sądowo-miejskiej. W pierwotnym składzie, jak we wszystkich innych miastach, na czele miejskiego rządu stał wójt (*advocatus*), który z przybraną starszyzną radnych, sprawował najwyższą zwierzchność, zarazem administracyjną i sądową. Władza jego i prerogatywy szczególnie w Krakowie były nader rozciągłe. On sam dobierał sobie podwładnych i rządził prawie nieograniczenie. Potęga jego nawet tak dalece wzrosła, iż mierzyć się śmiał z władzą nad całym krajem panującą. Trwał ten stan rzeczy aż do roku 1310, w którym Władysław Łokietek, za buntownicze przeciw sobie knowania mieszczan i wójta Alberta, prawo wybierania rajców krakowskich przeniósł na wojewodów krakowskich, a urząd wójtowski poddał pod zwierzchnictwo urzędu radzieckiego. Było tak do roku 1677 i dopiero król Jan III powrócił miastu moc pierwotnego samorządu. Z upadkiem władzy wójtowskiej, podniosło się ogromnie znaczenie rajców krakowskich, którzy odtąd waznemi stali się w urzędzie miejskim figurami. Dwie wtedy oddzielne władze składały tak zwany magistrat, dzielący się na urząd radziecki i wójtowsko ławniczy, z właściwą każdemu jurysdykcją. Magistrat takowy, jak to z zasad prawa magdeburskiego wynikało, działał w połączeniu z ogólnem zebraniem mieszczan, mających czynny udział w ustawodawstwie. Rada wtedy, czyli, jak wówczas nazywano, senat miejski, składał się z rajców (*consules*) i burmistrza (*proconsul*), który jej przewodniczył. Przy nich był ster i kierunek spraw. Liczba członków, mających należeć do Rady krak., początkowo żadną nie była oznaczona ustawą, zwyczaj sam pod tym względem zastępował miejsce prawa. W Krakowie od najdawniejszych czasów bywało po dwudziestu czterech rajców, którzy łącznie z burmistrzem składali właściwy poczet Rady. Ubliżenie temu zwyczajowi w r. 1564 przez wybór nadkompletnego rajcy, wywołało dekret króla Zygmunta 1565 roku, w którym orzeczono, iż rajców nie ma być więcej nad 24. Urząd ich był dożywotni, elekcja więc odbywała się tylko po zaszłej śmierci którego, lub dobrowolnem czy przymusowem złożeniu z urzędu.

Wspomnieliśmy wyżej, iż wskutek kary, miasto Kraków miało sobie odjęte najważniejsze i zasadnicze prawo wolnego wyboru swoich urzędników, których mianowanie od roku 1310 należało wyłącznie do wojewody krakowskiego. Odtąd więc dostojnik ten corocznie obierał rajców, a chociaż w rządzie miejskim żadnego nie miał rzeczywistego udziału, atoli sam przymiot i powaga wyborcy jednały mu pośredni wpływ na magistrat. Czuli się obowiązanymi względem wojewodów, dla których poszły w zwyczaj dobrowolne podarki, złożone niekiedy ze znakomitych i kosztownych przedmiotów, lub pewnej sumy pieniężnej. Obrządek też ich wybierania odbywał się z wielką okazałością, a kończył się zwykle sutą biesiadą w ratuszu krakowskim, którą niekiedy i królowie swoją obecnością zaszczycali. W zaproszeniach na podobne uroczystości, nie pomijano też i innych znakomitości krajowych i zagranicznych. Tak w r. 1524 znajdowali się na elekcji

rajców, oprócz monarchy panującego z całym dworem, posłowie mocarstw obcych: cesarski, rzymski, francuski i węgierski, oraz prawie wszyscy biskupi krajowi, wypadkowo wówczas w Krakowie bawiący. Co wtedy na uczcie zjedzono i ile wina wypito, można ztąd wnosić, że w spółczesnych rachunkach wydatków na ten cel poniesionych, obok ścisłych cyfr na usprawiedliwienie znacznego kosztu, dołączono w języku łacińskim uwagę, że za to też Bachus we wszystkiem otrzymał zwycięztwo (*sed et Bachus in omnibus triumphum obtinuit*).

Osobne prawo miejskie przepisywało właściwe przymioty osób mających być powołanemi do zaszczytu radziectwa. Wyjmujemy ztamtąd dla ciekawości, czego głównie pod tym względem wymagano.

„Dla pożytku miejskiego, słowa są tych przepisów, mają być wybierani w Radę ludzie mądrzy, dobrzy, lat zupełnych, przynajmniej ze 25 lat w mieście osiedli, wszakże nie bardzo bogaci, ani też ubodzy, ale średniego stanu. Nadto mają być z prawego małżeństwa rodzeni, doma zawżdy mieszkający, dobrej sławy, Boga się bojący, sprawiedliwość i prawdę miłujący, kłamstwo i złość w nienawiści mający, tajemnic miejskich nieobjawiający, w słowach i uczynkach stali, łakomstwem się brzydzący, darów niebiorący, mierni, nie pijanice, nie dwujęzyczni, nie pochlebcy, nie błaznowie, nie natrętowie, nie cudzołożnicy, nie owi, których żony rządzą, nie lichwiarze, nie fałszerze, nie zwadliwi. Także nie ma być obieran człowiek obcy i inszego prawa i komuby było 90 lat“. Z czasem przybyło jeszcze więcej warunków, które, jeżeli ściśle były zachowane, urząd ten czyniły zaszczytem.

Teatr, Literatura i Sztuka.

* (Z teatrów krakowskich). Część artystów, niegrających w „Tomku Paluchu“, już się rozjechała po szerokim świecie za przykładem dyr. Pawlikowskiego. O nowych wybitnych zmianach na sezon przyszły nic nie słychać. W kancelarji teatralnej cisza zupełna. Od wtorku w gmachu miejskim zakwateruje się na dobre dyrekcja lwowska z operą i operetką. Przedstawienia operetek odbywać się będą w lipcu naprzemian w Parku krakowskim i gmachu miejskim. Najbliższą nowością w dziale muzy lekkiej, będzie głośny wodewil francuski „Lili“, tytułową rolę odegra primadonna operetki pani Kliszewska. — P. Re[illegible], dyrektor stanisławowskiego teatru, wyjeżdża w tych dniach z Krakowa do Królestwa Pol., celem skompletowania swego towarzystwa. — Dzisiaj w teatrze miejskim uroczyste przedstawienia ku uczczeniu zlotu „Sokołów“. Rozpocznie prolog Asnyka, nastąpi marsz Sokołów, z muzyką Michała Swierzyńskiego, zakończy „Straszny Dwór“, op. Moniuszki. Przedstawienie powyższe z całym pietyzmem ma być wykonanem; dyrekcja teatru lwowskiego czyni starania, by wieczór ten miły pozostał w pamięci Sokolstwa. W środę drugi występ p. Al. Bandrowskiego, a zarazem pierwszy występ p. S. Kruszelnickiej w operze Halvy'ego „Żydówka“. W piątek po raz drugi: „Lohengrin“, z pp. Kruszelnicką i Bandrowskim (ostatni występ). Z dniem wczorajszym rozpoczęły się próby z „Goplany“. W operze powyższej wystąpią pp. Camilowa, Dąbrowska, Bohusówna, Korolewiczówna, Kliszewska, Myszuga, R. Sienkiewicz i Górski. Oprócz Goplany, zostanie wystawioną „Hänzel i Gretel“. Z dniem 2 lipca danym będzie szereg przedstawień operetkowych w teatrze miejskim; w teatrze letnim (park krakowski) dawane będą przedstawienia 4 razy tygodniowo.

* (Z teatru lwowskiego). Występy Mieczysława Frenkla obudziły z apatji lwowską publiczność. Teatr letni licznie bywa odwiedzany. Artysta warszawski grał dotąd w „Dworze we Władkowicach“, „Porwaniu Sabinek“, „Nerwowych“ i „Klubie kawalerów.“ W sztuce Bałuckiego debiutowała bez powodzenia p. Lucyna Benzowa, artystka teatru im. Fredry. — Z powodu wyścigów, widowiska rozpoczynają się we Lwowie o godz. 8 wieczorem.

* (Z teatrów warszawskich). Teatr letni wznowił „Miód kasztelański“ Kraszewskiego, z Rapackim w roli Jacka Sołoduchy. — Wczoraj debiutowała w roli Elizy („Walka motyli“) Aniela Zawadzka, do niedawna artystka teatru krakowskiego. Debiut powiódł się. — Teatr Mały żyje wciąż „Panem dyrektorem.“ — W teatrzykach ogródkowych zaczyna się „ciuciubabka“ co do repertoaru. Sztuki wchodzą i schodzą z afisza. Dotąd żadna nie doznała trwałego powodzenia. Dłużej cokolwiek gości farsa francuska „Leta“, w teatrze p. Michała Wołowskiego. Zresztą... jeneralna klapa, jak powiada Striese w „Porwaniu Sabinek“.

* „Marsz Sokołów“, kompozycji prof. Dauna, zamieścił w bieżącym numerze *Chochlik Krakowski*.

Repertoar teatru miejskiego. — Dziś w niedzielę d. 28 b. m. „Straszny Dwór“, opera w 4 aktach Stanisława Moniuszki, słowa Jana Chęcińskiego. W poniedziałek dnia 29 b. m. „Tomcio Paluch“ widowisko w 20 obrazach z niemieckiego, przekład Teodora Smolarza, po raz dziesiąty. We wtorek „Tomcio Paluch“ po raz ostatni. We środę dnia 1 lipca „Żydówka“, opera w 5 aktach, Halevyego, z p. Bandrowskim w roli Eleazara. W piątek dnia 3 lipca „Lohengrin“ opera w 5 aktach Ryszarda Wagnera.

Repertoar teatru letniego w Parku krakowskim. — Dziś w niedziele dnia 28 b. m. „Mam'selle Nitouche“, operetka Hervégo. W poniedziałek dnia 29 bm. „Sztygar“ z pp. Broccard i Kliszewską. We wtorek dnia 30 b. m, „Weseli spadkobiercy“ operetka Weinbergera. — We środę dnia 1 lipca „Nasze Paryżanki“ krotochwila w 5 aktach C. Danielewskiego.

HUMOR.

Do szczęścia różne prowadzą dwie drogi;
Jedna po różach, a druga przez głogi.
Po nich pokoleń idzie szereg długi;
Po pierwszej słabi, a mocni po drugiej...

Co za szczęście, że miłość jest ślepa! Gdyby nie była ślepa, nie byłoby miłości.

Droga cnoty jest tak wąska, iż przy spotkaniu się na niej dwóch ludzi jeden obowiązkowo schodzi na bezdroże.

Świadek przy pojedynku:
— Ależ mój kochany nie drżyjże tak strasznie! Jakże przeciwnik będzie mógł cię trafić?

— No, dobrze, okrycie ci jeszcze kupię, ale przyrzeknij mi już więcej niczego nie żądać.
— Na pewno! Jak będę miała eleganckie okrycie, to już mi wszystko, czego jeszczebym potrzebowała dadzą na kredyt.

— Dwa jajka na miękko!
— I dla mnie, ale bardzo świeże!
Garson przy tubie kuchennej;
— Cztery jajka na miękko, z których dwa bardzo świeże!

Ciągną gęsi zwłaszcza po tych stronach ulic, gdzie rozsiadły się najgęściej magazyny mód.

Z nastaniem sezonu przedogórkowego pojawiły się kaczki... dziennikarskie z czterech stron świata.

LOGOGRYF.

Złodzieja się nie boim, bo aż pięć nóg mamy,
I za lada dmuchnięciem, zaraz uciekamy,
Weź pierwszą, wśród karcianej znajdziesz nas zabawy,
Albo będziesz oznaczać czyn wielce nieprawy,
Weź drugą, będzie imię starej już kobiety
Z fatalnej reputacji znanej nam niestety.
Zmażcie trzecią, to resztą dokładnie wskażecie,
Weźcie czwartą, a ostatnia będzie w alfabecie.

Zadanie konikowe nr. 48.

				dzie	rzyj				
			je	zie	na	ko			
		w bła	na	Mat	ja	spoj	mi		
	ich	du	mi	dy	ku	Two	pro	ka	
pie	tu	rze	gal	†	†	łość	sze	ja	blask
dza	na	ni	szy	sie	nad	mien	o	rzuć	na
	stra	nę	tu	nym	mat	mi	mi	ny	
		roz	tu	mu	ro	ka	czy		
			ty	gwa	na	ra			
				ni	su				
			rze	lu	dła	znasz			
		ją	strze	nie	w my	z wy	w		
		pły	kró	ca	prze	mo	co		
		kom	czło	pro	ści	ślach	Twój		
		choć	i	lo	Bóg	my	mie		
			ro	wiek	się	Syn			
				co	kiem				
			pa	Sy	że	łzy			
		sław	w ser	la	nam	we	niech		
	ści	ła	ni	dy	la	nam	o	się	
znasz	ki	Ty	le	cach	se	niech	wi	z po	su
boś	czy	taj	Wła	†	†	dzie	szy	gi	wsta
	sa	bo	mat	wiesz	li	ul	wiek	do	
		na	ma	Two	la	Sy	u		
			ła	tość	kto	ja			
				bo	na				

Rozwiązanie szarady z nru 141.

Sa—la—mi.

Dobre rozwiązanie przysłali Pp.: M. Żmudzińska, Z. Doskocilowa, Ignacy Mossakowski; Eugenjusz Tarasch i Jadwiga Kulczyńska z Krakowa; Jan Habura z Jasła, R. Kwaśniewski z Łukawca i Karol Radwański z Nowego Sącza.

Rozwiązanie monogramu.

M—o—n—o—g—r—a—m.

Dobre rozwiązanie przysłał tylko p. R. Kwaśniewski z Łukawca.

OSTATNIA POCZTA.

═ Alokucja Papieża Leona XIII na tajnym konsystorzu z dnia 22 b. m. brzmi, jak następuje:

„Czcigodni Bracia! Korzystając z tej sposobności, którą nastręczyła nam należna troska o osierocone kościoły i o uzupełnienie Waszego Kolegjum, chcielibyśmy przedewszystkiem zawiadomić Was o powziętem przez nas postanowieniu, które może być wielce pożytecznem dla interesów Kościoła. Wprawdzie Kościołowi macierzystemu nie brakowało nigdy zapału w przywoływaniu napowrót i w zapraszaniu tych, których albo różnice zapatrywań albo błąd, wyrwały nieszczęsnym sposobem z jego łona, lecz w ostatnich latach wskutek znanych Wam dobrze okoliczności, ten zapał Kościoła wzmógł się, a zarazem było już danem doznać przedsmaku upragnionych owoców, co i nadzieję pomnaża i ów zapał w staraniach o osiągnięcie celu powiększa, zwłaszcza dla tego, że wśród oderwanych od Kościoła narodów coraz częściej pojawiają się wcale niepodrzędne oznaki, iż narody te życzliwie zwracają swe umysły ku tej Stolicy Piotrowej i spoglądają na nią z tęsknotą do ponownego z nią kiedyś zjednoczenia się.

Gdyśmy już dotychczas w wypływie apostolskiej miłości snuli w tym przedmiocie pewne plany i trochę nawet uczynili, przeto teraz, wszystko bardzo w obliczu Boga rozważając, pragniemy zaiste obszerniejszą jeszcze nieść słowem i czynem pomoc tym, którzy Królestwa Chrystusowego w prawdzie szukają. A ponieważ najważniejszy punkt i zarazem podstawa chrześcijańskiej nauki zawarta jest w dobrem zrozumieniu Kościoła, przeto postanowiliśmy nakreślić wypływający z ustanowienia Boskiego obraz i postać Kościoła, szczególnie w tym zamiarze, aby nadane Kościołowi przez Boga zadziwiające znamię jedności tem dobitniej wystąpiło.

Zaiste, kto Kościołowi zbliska się przypatruje i rozważa go tak, jakim go Boski Założyciel chciał mieć i apostołom powierzył, jakim św. Ojcowie i nauczyciele Zachodu i Wschodu ciągle przedstawiali, jak go objaśniały od najdawniejszych czasów przeróżne pomniki; ten musi za łaską Bożą dojść do podwójnego wniosku, raz, że co się tyczy dyssydentów, budzi się w nich popęd i zrozumienie potrzeby szukania jedności, a powtóre że ci, którzy doznali już tego dobrodziejstwa, tem wyżej je cenią i troskliwiej pielegnują.

Ten zamiar przeprowadzimy w najbliższym czasie w encyklice do wszystkich biskupów, a uznaliśmy, że pismo to wypada powierzyć opiece świętych książąt apostolstwa Piotrowi i Pawłowi, przez których nauki, trudy i krew w jak najchlubniejszy sposób uświęcone zostały najpierwsze czasy Kościoła, tej jedynej oblubienicy Chrystusa“.

═ Urzędowe telegramy z Madrytu donoszą już najmniej po raz setny, że wojska hiszpańskie rozproszyły oddział wodza powstańców, Macea. Tymczasem wiemy co to znaczy. Partyzantka na tem właśnie polega, że przed większemi siłami regularnemi powstańcy rozsypują się aby nazajutrz zgromadzić się znów gdzie indziej. To chyba nie ucieczka, lecz taktyka. Donoszą także, że Hiszpanie zastrzelili Niemca, Waltera Zandt, który rzekomo fabrykował bomby do wysadzania pociągów w powietrze.

Telegramy

własne „*Głosu Narodu*“.

Praga 27 czerwca (po południu). Dziś zgromadzają się wszyscy niemiecko-czescy posłowie do Rady państwa i to zarówno posłowie z miast i gmin wiejskich, jakoteż deputowani wiernokonstytucyjnej większej własności. Celem zgromadzenia jest omówienie politycznej sytuacji. Jutro przedpołudniem odbędzie się posiedzenie wzmocnionego czesko-niemieckiego komitetu wykonawczego, na którem przygotowane będą wnioski dla zgromadzenia mężów zaufania. Popołudniu zgromadzą się członkowie niemiecko-czeskiego klubu sejmowego, w celu omówienia spraw odnoszących się do stosunków czeskich i do działalności Sejmu. W poniedziałek zrana odbędzie się zgromadzenie czesko-niemieckich mężów zaufania.

Berlin 27 czerwca (w południe). Zapewniają że minister handlu, baron Berlepsch, podał się do dy-

misji. Powodem dymisji ma być między innemi odrzucenie przez Sejm ustawy o Izbach handlowych. Dymisja Berlepscha będzie prawdopodobnie przyjęta.

Lipsk 27 czerwca (w południe). Odpowiednio do wniosku prokuratora trybunał państwa odrzucił odwołanie Hammersteina od wyroku pierwszej instancji.

Paryż 27 czerwca (w południe). Przy wczorajszem przesłuchaniu Artona w sądzie, poruszona została sprawa Reinacha. Arton opowiadał: „Miałem zapłacić Towarzystwu 500.000 fr. Zażądałem zwłoki ośmiu dni, ponieważ byłem pewny, że znajdę kogoś, kto mi da tę sumę. Mogę teraz powiedzieć, że był to baron Reinach. W dniu 10 lub 15 lipca 1892 przysłał mi Reinach pewną osobistość do Londynu z zawiadomieniem, że chce mi dostarczyć pewnych środków dla mojej rehabilitacji zagranicą. (Poruszenie). Osobą tą był Mermeix, który wyjechał do Transwaalu". Prezydent: „Byłoby może rzeczą zbyteczną nazwiska te mieszać do dyskusji, bo przypemiuasz pan sobie owe 959.000 fr., które baron Reinach dał panu na cele, o których pan dobrze wiesz"... Arton: „Wymieniłem te nazwiska z konieczności, aby wyjaśnić wypadki w czerwcu i lipcu 1892 roku". Prezydent: „Z tych pieniędzy uczyniłeś pan użytek, którego nam tu nie wolno omawiać". Arton: „Użyłem tych pieniędzy tak, iż Reinach był zadowolniony". Prezydent: „Niezawodnie mamy oświadczenie Reinacha, które zawiera polecenia dla pana. Dlaczego nie mówiłeś pan o tem wszystkiem w śledztwie?" Arton: „Wszystkie bliższe wyjaśnienia dam w innej chwili. Teraz tego uczynić nie mogę. Pytałem się zresztą sędziego śledczego, czy wolno mi mówić o tych sprawach. Pokazano mi na to depeszę jeneralnego prokuratora, który zarządzał, żeby mi o tych rzeczach nie było wolno mówić, ponieważ na to rząd angielski nie zezwolił. Gdybym więc dzisiaj o zużyciu tych funduszów mówił, popełniłbym czyn nielojalny". Prezydent: „Nikt się też pana o to nie pyta". Arton: „Wspomniałem tylko o tej sprawie, aby wskazać, że, dzięki pomocy Reinacha, mogłem łatwo wszystko pomyślnie załatwić, gdyby mi zostawiono nieco czasu". Prezydent: „Powróćmy do procesu, od którego oddaliliśmy się, ponieważ podobało się panu wtrącić do dyskusji nazwisko Reinacha". Przystąpiono z kolei do przesłuchania świadków.

Rzym 27 czerwca (w południe). Z Erytrei donoszą, że upały dochodzą do 50°. Żołnierze sypiają pod zmoczonem płótnem.

Londyn 27 czerwca (w południe). Rada administracyjna Chartered Company przyjęła dymisje Rhodesa i Beitza jako dyrektorów, oraz Harrisa jako sekretarza Towarzystwa. Rhodes zamieszka jednak nadal w Rhodesji, aby pomagać Towarzystwu w zarządzaniu krajem.

Londyn 27 czerwca (w południe). Korneljusz Hertz zamierza wyjechać do Ameryki.

Tanger 27 czerwca (w południe). Sułtan marokański zamierza wysłać jedno poselstwo do Paryża, drugie do Londynu.

Ostatnie telegramy „Głosu Narodu".

Wiedeń 28 czerwca (rano). Cesarz dokonał wczoraj przed południem w dworskim kościele parafialnym wręczenia baretu kardynałowi Agljardiemu.

Berlin 28 czerwca (rano). O odwiedzinach chińskiego wicekróla Li-Hung-Czanga we Friedrichsruhe, donoszą dzienniki jeszcze co następuje: Li-Hung-Czang rzekł do ks. Bismarcka: „Celem moich odwiedzin jest zasięgnięcie rady Waszej Dostojności. Jak mamy postępować, ażeby zreformować Chiny?" „Doprawdy z tak daleka nie mogę o tem sądzić", odrzekł Bismarck. Wicekról pytał dalej: „Jakim sposobem mógłbym rozpocząć skuteczną kampanję z dworem pekińskim?" „Z dworem nie można prowadzić kampanji" — rzekł Bismarck. „Głównie idzie o to, czy na najwyższem miejscu jest dosyć materjału palnego. Wtedy można dużo zrobić. Jeśli tego materjału brak, wtedy nic zrobić się nie da. Przeciwko woli władcy nie wolno występować żadnemu ministrowi. Minister powinien tylko wykonywać rozkazy albo udzielać swojej rady". „Jakże sobie jednak trzeba poczynać, aby wykonywać wolę władcy?" „Tylko opierając się o armję", oświadczył książę. „Ta armja może być mała, bardzo mała nawet, wystarczy 50.000 ludzi, ale to musi być dobra armja". „Ludzi mamy dosyć". — odpowiedział Li-Hung-Czang „brak im tylko odpowiedniego przygotowania. Od trzydziestu lat nie uczyniliśmy ani jednego kroku naprzód. Musimy przystąpić do reorganizacji i to z pomocą pruskich oficerów i według niemieckiego wzoru". Rozmowa przeszła następnie na stosunki niemieckie a książę Bismarck wyrażał się z uznaniem o księciu Hohenlohem, z którym go od trzydziestu lat łączą ścisłe węzły przyjaźni.

Konstantynopol 28 czerwca (rano). W ostatnich czasach w kołach młodotureckich zaznacza się znowu nadzwyczajna ruchliwość. Partja młodoturecka zamierza kategorycznie domagać się zmiany rządowego systemu i w najbliższym czasie wystąpić wprost przed sułtanem z odnośną manifestacją. Sułtan podobno jest w najwyższym stopniu zaniepokojony. Kilka dni temu kazał utworzyć nową straż przyboczną, złożoną wyłącznie z Kurdów.

Konstantynopol 28 czerwca (rano). Zapewniają, iż rady ambasadorów w sprawie kreteńskiej zostały w Yildiz-kiosku przychylnie przyjęte. Za najnaglejszy warunek uspokojenia wyspy uważają usunięcie gubernatora Abdullah baszy, który ze stosunkami wyspy nie jest obeznany i zastąpienie go przez osobę znającą stosunki miejscowe.

Konstantynopol 28 czerwca (rano). Z Macedonji donoszą, iż kaimakan z Veles wraz z wyższym urzędnikiem Ali-beyem oraz kapitanem żandarmerji przy wyjściu ze wsi Kaplan wpadli w zasadzkę. Ukryty nieprzyjaciel dal salwę karabinową, która zabiła Ali-beya i kapitana; kaimakan jest ranny. Sfery tureckie przypisują napad bandom powstańczym. Ali-bey, były urzędnik skarbowy, był nienawidzony przez ludność chrześcijańską.

Rzym 28 czerwca (rano). Do *Popolo Romano* donoszą z Kanei, że rozgoryczenie ludności wzrasta w sposób nieopisany z powodu dzikości i złośliwości tureckiego gubernatora.

Ateny 28 czerwca (rano). Chrześcijańscy deputowani na Krecie, odpowiadając na wezwanie do udziału w zgromadzeniu narodowem, przesłali Abdullahowi baszy swoje dymisje, zastrzegając sobie zwołanie zgromadzenia rewolucyjnego w celu zamianowania prowizorycznego gubernatora i sformułowania żądań Kreteńczyków.

Ateny 28 czerwca (rano). Reprezentanci ludności chrześcijańskiej zamierzają demonstracyjnie ogłosić zrzeczenie się mandatów. Równocześnie jednak zdecydowani są proklamować zjednoczenie się z Grecją i wybrać rząd prowizoryczny.

Wiedeń 27 czerwca. (Po zamknięciu giełdy). — Kredyty 350·75 Anglobanki 156·75; Länderbank 250·75; Staatsbahny 359·50; Lombardy 102·75; Renta majowa 101·30; Renta koronowa węgierska 98·95; Alpiny 78·—; Tureckie 53·30.

Gospodarstwo i handel.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu

Kraków 26 *czerwca.*

Według sprawozdań zagranicznych, ceny zboża mało się zmieniają, wogóle jednak usposobienie bardzo słabe.

Ze względu na tę okoliczność, na tutejszym targu panuje stagnacja, gdyż wobec widoków na dobre urodzaje, na spekulację nikt nie kupuje, a potrzeby młynów, jak były, tak są bardzo małe. Zapasy pszenicy są nawet dosyć szczupłe, dlatego sprzedaż, zwłaszcza celnych gatunków, jest stosunkowo łatwiejsza, natomiast żyto, którego zapasy są większe, bardzo słaby napotyka odbyt.

Ceny są już tak niskie, że przez to samo spadek nie może być gwałtowny, a jednak od targu do targu różnica wynosi 5—10 ct. na niekorzyść sprzedających.

Płacono pszenicę: białą 7·25 do 7·50; czerwoną 7·20 do 7·45 złr.; żółtą 7·20 do 7·45 złr.; żyto 6·10 do 6·40 złr.; jęczmień browarny 5·70 do 6·— złr.; na paszę 5·— do 6·— złr; owies 5·90 do 6·25 złr.; — wykę —·— do —·— złr.; rzepak ·— do —·— złr. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

KURSY TELEGRAFICZNE.

Wiedeń 27-go czerwca — 2 godz. 30 minut po poł.

	złr. ct.		złr. ct.
Renta austr. papier opod.		Losy tureckie	54 —
„ srebrna		Anglobank	156 75
„ 4% złota		Union	284 50
„ 4% koronowa		Bankverein	164 25
4% „ „ złota		Akcje Länderbank	251 00
4% Renta węg. kor.		„ „ lwowsko-czerniow.	288 50
Akcje banku au.-w.		„ „ połudn.	102 62
„ kredytowe		Elbenthal	275 50
Londyn vista		Nordbahn	3400
Marki		Staatsbahn	360 —
Napoleony		Alpin	77 90
Włoskie banknoty		Akcje tytoniowe	— 00
Dukaty		Ruble	127 —
Losy prem. węg.	151 —		

Usposobienie giełdy stałe.

POCIĄGI KOLEJOWE.

Do Krakowa przychodzą:

Od strony Wiednia, Warszawy i Berlina: godz. 6 minut 6 rano pospieszny (wszystkie trzy klasy); godz. 7 minut 33 rano osobowy z Oświęcimia; godz. 9 minut 37 przed południem osobowy; godz. 2 min. 43 po południu błyskawiczny (I i II kl.); godz. 5 min. 3 po połudn. osobowy; godz. 8 min. 45 wieczorem pospieszny (trzy klasy); godz. 10 min. 10 wieczorem osobowy. — **Od strony Lwowa:** godz. 4·53 rano osobowy; godz. 7 rano pospieszny; godz. 8 min. 55 rano osobowy z Rzeszowa; godz. 2 min. 24 po południu błyskawiczny; godz. 2 min. 53 po połud. osobowy; godz. 7 min. 30 wieczór osobowy; godz. 9 min. 38 wieczór pospieszny. — **Z Wieliczki:** godzina 11 minut 15 przed południem i godzina 6 minut 45 wieczór pociągi mięszane.

Z Krakowa odchodzą:

W kierunku Wiednia, Warszawy i Berlina: godz. 5 min. 33 rano osobowy; godz. 7 min. 25 rano pospieszny; godz. 9 min. 25 przed połudn. osobowy; godz. 2 min. 31 po południu (I i II kl.); godz. 3 min. 20 po połud. osobowy; godz 6 min. 10 wieczór osobowy do Oświęcimia; godz. 10 wieczór pospieszny. — **W kierunku Lwowa:** godz. 6 min. 38 rano pospieszny; godz. 8 min. 50 rano osobowy; godz. 11 min. — przed połudn. osobowy; godz. 2 min. 49 po połudn. błyskawiczny (I i II kl.); godz. 6 min. 45 wieczór osobowy do Rzeszowa; godz. 9 min. 15 wieczór pospieszny; godz. 10 min. 55 wieczór osobowy. — **Do Wieliczki:** godz. 12 min. 20 w południe i godz. 7 minut 45 wiecz. pociągi mięszane.

Od dnia 25 czerwca do 15 września kursować będą pociągi kąpielowe, które z Podgórza do Krakowa przychodzą o godz. 7 minut 55 wieczorem osobowe, odchodzą o godz 8 rano osobowe.

Czas środkowo-europejski.

NADESŁANE.

(Rubryka „Nadesłane" nie pochodzi od Redakcji, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje)

Biedny uczeń

którego kształceniem się na nauczyciela ludowego zajęła się tegoż matka staruszka ze swej nędznej płacy jako służąca, opadłszy na siłach i nie będąc w możności służyć a temsamem, dopomódz mu do dalszego kształcenia się, uprasza litościwe serca o łaskawe przyjście mu z pomocą datkami pieniężnemi pod adresem: Katarzyna Hara w Rozwadowie l. 5, za które składa już naprzód serdeczne Bóg zapłać.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.